

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



ZWIASTOWANIE N. M. P.  
Dekoracja kościelna, z wystawy „Pracowni” w Salonie T. Z. S. P.

TADEUSZ NOSKOWSKI

HENRYK NUSBAUM:

## NA NUTE EKKLESIASTES.

### I.

1. Marność nad marnościami, kaznodzieja rzecz, marność nad marnościami — wszystko jest marnością.

2. Czemże jest obszar ziemny, mieszkanie człowiecze? Pyłkiem w tumanie przestrzeni, a na tym pyłku śmiertelnik? ażali nie przemarną nikłością?

3. Czem są dzieje rodzaju ludzkiego? mgieniem w czasie bezkresie, a nic pielgrzymki tu naszej? ażali nie przernikoma nikłością?

Marność nad marnościami,—wszystko jest marność.

4. Czemci jest mądrość ludzka? Cieniem prawdy przy zachmurzonym słońcu. Niemasz w cieniu tym ani wypukłości, ani barw, ani konturów prawdy.

5. Czemci jest sława ludzka?—ażali nie nikłym podzwiękiem szkła uderzonego?

6. Czemci jest bogactwo człowieka? — zaprawdę, że pleśnią bujną, która go porasta i wraz pożera.

Marność nad marnościami,—wszystko jest marnością.

7. Ale słyszałem ci ja, jako syn ziemi w męce jęk wydaje. Ale widziałem ci ja, jako dziecię prochu w bólu łzę roni. I jedną poznałem prawdę, a nie cienia jej.

8. Przecz nie huk podziemny, kiedy ziemia w posadach się chwieje, i nie gromy nieba, kiedy ci z chmur czarnych wała, i nie grzmot lawiny, staczającej się z gór szczytów, ale jęk bólu ludzkiego — to najgłośniejszy na tej ziemi głos.

9. I ani kropel krocie w ukos ziemię bijących nawałnic, ani kropel miliardy miliardów, złane w morza wielkiego otchłanie, uwagi godniejszym są zjawiskiem, niż kropla jedna łez, ronionych przez cierpienie.

10. I zaprawdę jedną poznałem prawdę, a nie cienia jej: jako, że wszystko tu na ziemi marnością jest, krom jednej rzeczy, krom ludzkiego cierpienia.

11. Powie każdy w chwili bólu: zaprawdę, ból nie jest marnością. I we wszystkim są wątpliwości—tylko w tem jednym wątpliwości niemasz, i wszędy mogą być różnice ludzkich sądów, tylko w tem jednym niemasz różnicy sądów.

12. Prawda, że wielu namiętnie zdąża do rajy rozkoszy zmysłowych, i to prawda, że niejednen gorączkowo się wspina na strome szczyty sławy, i to prawda, że wielu w pocie czoła ciśnie się poprzez przeszkody ku blaskom złota, i to prawda, że niejednen mocą szалу się rzuca ku piękna zachwytom, i to prawda, że niejednen z wysiłkiem nadludzkim pragnie zdzierać zasłony tajemnic bytu, ale niewątpliwą jest prawdą i ta, że najgwałtowniejszym wysiłkiem ucieka śmiertelnik od piekła cierpienia.

13. I za tem poznałem, że jedna tylko wielka jest sprawa w życiu syna ziemi, a tą wielką sprawą jest cierpienie.

14. A gdy z największym wysiłkiem każdy uciec pragnie od onej wielkiej sprawy, jasnym jest, jako obok cierpienia największą na ziemi rzeczą jest serce współczujące, miłość bliźniego.

Marność nad marnościami,—wszystko jest marnością, okrom cierpienia, okrom serca współczującego.

### II.

1. Ażali wstydu szkarłat nie zlewa oblicza twojego, śmiertelniku, na myśl samą, że istniejesz?

2. Leżą głowy nieme, leżą, ale bytu swojego nie są świadome. Rodzą się, rosną, kwitną, płodzą i więdną rośliny, ale bytu swojego nie są świadome. Rodzi się, rośnie, szuka żeru, płodzi, walczy i ginie zwierzę wszelki, ale świadom potrzeb swoich, żądź i ich zadowoleń, próżen jest samowiedzy i nie pyta, skąd i dlaczego i po co wszedł do bytu.

3. Ale człowiek rodzi się bezwiednie, staje się igraszką żądź swoich i pragnień, ale pyta: skąd ja tu przybywam i dlaczego stałem się, i wstydu szkarłat rumieni oblicze jego wobec upokarzającej odpowiedzi: nie wiem, nie wiem, nie wiem.

4. Stałem się, jestem i jestem, jakim jestem, mimo mojej woli—izali to nie upokarzające? i wiem, że istnieć przestanę mimo mojej woli—izali to nie upokarzające?

5. Zaprawdę upokorzony jesteś i przez mięso twoje i kości i trzewa twoje i przez serce, które w tobie bije do czasu, i przez wszystkie kształt twój, choćbyś w nim wdzięk upatrował.

6. Posiadasz łaskę doznawania uciech, tak misternie zbudowane są narządy ciała twojego—izali nie jest to tobie pokory źródłem?

7. Posiadasz łaskę zdobywania drobnych atomów wiedzy i że tak misternie utkane są zmysły twoje i miazga mózgowia twojego bez woli twojej, izali nie jest to tobie pokory źródłem?

8. Ażali dumnym być ma arcydzieło sztuki, że takim je myśl i dłoń artysty do życia powołała? A przecz arcydziełem nie jesteś doskonałem?...

10. Im więcej doskonałości byś w sobie upatrował, tem większem winno być upokorzenie twoje, jako czyjaś, a nie twoja wola ukształtowała cię wedle miary pewnej, do pewnego stopnia sprawności nie wedle zamierzenia twojego, z pewnem niezłomnem ograniczeniem, któremu poddać się musisz, o ty, dziecię prochu.

11. Zaprawdę, jeden człowiek na ziemi posiadał z łaski samowiedzę, a ta jeden mu dawa przymiot przystojny: pokorę, głęboką pokorę, wstyd, że jest, jaki jest, choćby mistrzem był, choćby królem był, że trwa z niewiadomych mu racyi, że nawet od tej z pokorą sprzężonej samowiedzy odejść musi na wieki.

12. Jedna przystoi ci rzecz, synu ziemi: wstyd i pokora. Wstyd i pokora.

13. Ale słyszałem ci ja, jako syn ziemi jęczał z bólu, a brat uciszył jęki. Ale widziałem ci ja, jako dziecię prochu łzy roniło w cierpieniu, a bliźni łzy one otarł.

15. I poznałem, że jedna rzecz daje człowiekowi prawo podniesienia pochylonej w pokorze głowy, a rzecz ta to władza ga-

szczenia ognia męki i bólu. I poznałem, że nędzarzowi, któremu na imię człowiek, jedna rzecz daje prawo do dumy, a rzeczą tą jest łaska, która w sercu jego zapala moc miłości.

16. Albowiem i nie z woli własnej być powołanym do spełnienia miłosierdzia daje zaiste prawo do dumy.

17. Marność nad marnościami, wszystko jest marnością. Wszystko zaiste marnością jest, krom cierpienia.

18. Marność nad marnościami, wszystko jest marnością, a żywot ludzki nędzą nad nędzami, jeden tylko oświeca i ogrzewa go płomień—płomień miłości bliźniego, tylko jeden klejnot korony królewskiej zdobi naprawdę czoło syna ziemi!—a tym jest uczynek dobry.

19. A z wielkiego zjawiska cierpienia i z wielkiej łaski miłości podnosi się potężny głos sumienia naszego, któremu na imię obowiązek.

### III.

1. Bywa cierpienie ciała, i bywa cierpienie duszy, a cierpienie duszy jest cierpieniem i ciała.

2. Bywa cierpienie jednostki, i bywa cierpienie gromady, i bywa cierpienie narodu całego.

3. Wielką jest zbrodnią obojętność wobec cierpienia jednostki, nieskończenie większą — znęcanie się nad bliźnim.

4. Dziesięćkroć większą zbrodnią obojętność wobec cierpienia gromady, nieskończenie większą znęcanie się nad gromadą.

5. Stokroć większą — obojętność wobec męki narodu, nieskończenie większą — znęcanie się nad narodem.

6. Albowiem, jako bywa nieskończoność przestrzeni przed oczami twojemi, a do niej dodać możesz nieskończoność przestrzeni poza potylicą twoją, a większą od dwu tych nieskończoności jest, która naokół ciebie się rozciąga, jako więc bywa nieskończoność jedna większa od innej—takoż bywa i nieskończoność zbrodni jedna większą od innej, a największą nieskończonością zbrodni — znęcanie się nad narodem całym.

7. Kto udęcza ducha narodu, udęcza i ciało jego, udęcza miliony ciał i miliony dusz.

8. Marność nad marnościami, wszystko jest marnością, okrom cierpienia. Nieskończenie wielkim zjawiskiem na tej ziemi jest cierpienie jednego człowieka, jeszcze większem cierpienie gromady, największem cierpienie narodu.

9. Marność nad marnościami, wszystko jest marnością okrom serca miłującego. Wielkiem jest serce, miłujące człowieka, większem miłujące gromadę, największem miłujące naród.

10. I zaprawdę wielki jest, pomimo znikomości swojej, i dostojny, pomimo swej marności, pomimo upokorzenia, do jakiego stworzon został czcigodnym, który wszystką moc swoją oddawa ku zbawieniu od męki narodu.

11. I zaprawdę hańba obojętnym na krzywdę narodów, nieskończenie większa narodów krzywdzicielom.

12. Miłosierdziem wobec narodów to sprawiedliwość.

13. A z wielkiego zjawiska męki narodów i z wielkiej łaski poczucia sprawiedliwości ażali nie wzniesie się potężny głos sumienia ludów i ażali nie zawoła groźnie: I pokądże, i pokądże bluźnić będziecie sprawiedliwości? ażali nie lękacie się, że z zanikiem wielkiego zjawiska sprawiedliwości przyjdzie bujny rozrost wielkiego zjawiska cierpienia, że aż świat cały ogarnie i stanie się straszną klątwą wszechcierpienia?





SZTAFETA  
Z wystawy „Pracowni” w Salonie T. Z. S. P.

JÓZEF RYSZKIEWICZ

## Z TEKI POŚMIERTNEJ TEOFILA LENARTOWICZA\*).

### Pieśń na zalew, na topiele.

(Czyta).

„I gdzież ta gwiazda, gdzie ten promień boski?  
Kędyż ten anioł, rozpostarty w niebie?  
Woda zalewa i grody, i wioski,  
Opływa, chłonie i garnie pod siebie”.  
„Z oblicza ziemi jakiś Bóg nas zmywa,  
I łaża już wyschła, i łaża już nie spływa,  
Po cóż więc śpiewać i gasnące oczy  
Paść widowiskiem zniszczenia i zgonów?  
Dłoń przeznaczenia, jak piasek, na stoczy,  
Nie dość jednostek: trzeba jej milionów;  
I nie jednostki miele, a narody,  
Ta wyciągnięta nad podchmurne wody.”  
„Jeszcze po jednej niewymownej klęsce  
Perś nie nabrała powietrza oddechu,  
Jeszcze ryk słyszę wrogiego nam śmiechu,  
Chwalby, któremi witają zwycięzcę,  
I cała ziemia okrywa się grobem,  
A głód i nędza w suche kości pleszcze...  
O wielki Boże! rozpraw-że się z Jobem  
I, jak przed wieki, daj się słyszeć jeszcze.  
Bo, jeśli milczeć będziesz, kto uwierzy?  
Kto na twój ołtarz dań złoży przyjemną?

\*) Fragment z nie wydanego dramatu Lenartowicza.

Trupem przed Tobą cały naród leży  
I woła: Boże, rozpraw-że się ze mną...  
A tu... nic... cisza... i tylko rybitwa  
Nad dziecka leci płynącą kolebką,  
Milczy spokojne, nasycone niebo,  
W łono nieczułe spłynęła modlitwa,  
Więc duch w rozpacz, obłąkane zmysły,  
A w głowie zamęt, w piersiach niema trwoga;  
Duchy zniszczenia w powietrzu zawisły  
I grzmia i szumią: Niema, niema Boga!  
Ziemia ta zwie się pustynią w przestrzeni,  
Nie łąk zieloność, a trup się zieleni,  
I w górę patrzą trupy tkniętych morem,  
We czczość powietrza stojącą otworem.  
„Nad spokojnymi cichych jezior wody  
Irydy chylą zadumane czoła,  
Które jesienne potrzęsają chłody,  
A głos od gruzów zgorzałego sioła  
Śpiewa: niech lilia kielich łez wyleje  
Na nasze zgony, na nasze nadzieje.”

(Przerywa czytanie).

Czy mu te białe poszeptaly cegły,  
Na które długie łyzy sieroce biegły?

(Czyta dalej).

„Nad domów szczyty i nad świątyń krzyże  
Potop się wznosi bałwanem i pianą,

Językiem piekła fundamenta liże,  
Nad spadającą pies gdzieś wyje ścianą,  
Łódka pomyka omdlałymi wiosły,  
Fale ją w biegu porwały, uniosły...  
Widziałeś ludzi, klęczących na strychu,  
Ich wyciągnięte ku niebiosom dłonie;  
Woda nad nimi przeszła już pocichu,  
Wiry i piany i ruchome tonie.”

W schronienia martwym rozchylone zwłokom,  
W otwarte groby z szumem fala spada,  
Oddajcież zwłoki lecącym potokom,  
Ostatni zmarli, o! biadaż wam, biada!  
Niebo wam grobów schronienia zazdrości,  
Płynicież, przeklęte braci moich kości!  
Taką uciechę wśród światów pustyni  
Z was, biedne kości, Ojciec sobie czyni.  
Jeśli wy Ojca, nie losu, rządzeniem,  
Cieszcie się: piekło wita was zniszczeniem,  
Wita was otchłań dobrodziejstwem cieni,  
Nicością wieczną bądźcie pozdrowieni!”

Więc z wysokości głosy się rozwiódą;  
„Odgadnij miłość moją pod zniszczeniem,  
Błędy ja wasze czyszczyć czystą wodą,  
A krwią—zbrodniarzy zetnę i płomieniem.”

Amen! Amen!

## DWORY I DWORKI.\*)

Biały dworku modrzewiowy  
Pod prastarych lip ostoną,  
W tobie akord brzmi echowy  
Serc, co starą cnotą płoną.

Modrzewiowy dworku biały,  
Świadku doli i niedoli,  
Kiedyż złotych zórz hejnały  
Bóg usłyszeć ci pozwoli?

Kiedy czytam lub myślę o starym dworku polskim, przypomina mi się prześlizny obraz Juliusza Kossaka, jeden z cyklu, zatytułowanego „Pieśń legionów”. Przed typowym ganeczkiem z filarkami stoi starzec siwobrody, wsparty na smukłym dziewczątku. Obok dworku maszeruje kapela pułkowa, wygrywająca cudnego mazurka, a za orkiestrą, przed chwackim regimentem, na dzielnym rumaku widnieje kochana postać księcia Józefa.

I zawsze wiąże mi się nierozzerwalnie



Dwór w Koszutach (W. Ks. Poznańskie) z roku 1567.

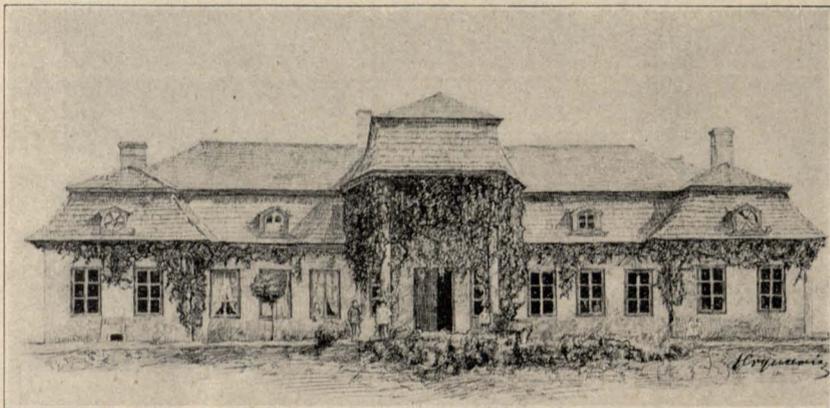
tylu szalejących burz, pomimo żagwi szwedzkich, węgierskich, tatarskich i innych. Pożary, wojny, zła wola zniszczyły niejedną piękną, szacowną, historyczną zabytek, którym słusznie szczyścićbyśmy się mogli, nie mówiąc już o sentymencie, przywiązaniu do gmachów i miejsc, wieloma doniosłymi zdarzeniami pamiętnych. Polska—to kraj nawskroś rolniczy, warstwa od wieków w Polsce przodująca to—ziemianie,

wego dzbana do szklenicy z weneckiego szkła nalewając.

Tak to niegdyś wśród swej wioski,  
Pod stuletniej lipy cieniem,  
Jan siadywał Kochanowski  
I nasycał się natchnieniem.

Lipa szumi, pszczołki brzęczą,  
Przedwieczorny wietrzyk chłodzi,  
Spływa Muza, lśniąc tęczą,  
I przesłodka pieśń się rodzi.

W dworach wiejskich, często niepozornych i skromnych zewnątrz, ukrywały się wewnątrz bezcenne nieraz bogactwa. Zdobyczne, wschodnie, przepyszne materje, kapiące od złota i od srebra, wspaniałe rzędy na konie, bułaty, jatagany, janczarki, pistolety, drogimi kamieniami sadzone, rzezane misternie z kości słoniowej, z perłowej masy, z koralu, z bursztynu, przedmioty wyżej od złota cenione, arasy, makaty, meble gdańskie, puhary weneckie, srebra kosztowne augsburskie, wrocławskie, norymberskie, nierzadko obrazy znakomi-



Dwór w Potoku (pow. jędrzejowski) z roku 1630. Zgorzał w roku 1901.



Dom w Orwistowie (pow. kowieński) z końca XVII wieku.

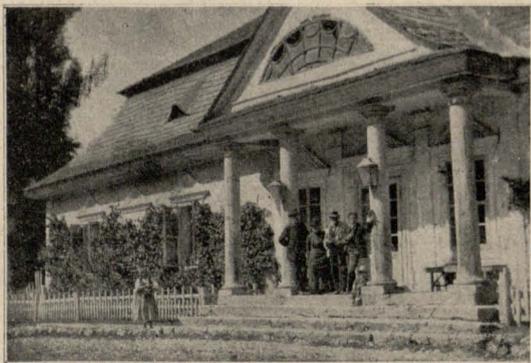
w sercu i w mózgu biały dworek wiejski — wszystko jedno gdzie: nad Wisłą, Wartą, Pełtwią, Bugiem, czy Niemnem, z tą melodią uroczą, wiecznie drgającą w piersi polskiej, i z temi słowy, wróżącami nieśmiertelne życie temu, co nieśmiertelne.

Tam miłości znicz goreje  
W lat posępnych niepogodę,  
Siejąc wiarę i nadzieję  
W młodych orląt duchy młode.

Tam najdłużej trwają smutki,  
Że cię jeszcze niema, wiosno,  
Tam błękitne niezabudki  
W polach—w łąkach—w sercach rosną...

Dzięki Bogu, zachowało się jeszcze na ziemiach polskich sporo tych staroświeckich, tak sympatycznych dla serca i oka budowli, pomimo

\*) Z powodu ciekawego dzieła Z. Glogera p. t. „Budownictwo drzewne w dawnej Polsce”, ryciny zaczerpnięte z tejże książki.



Dwór w Modlnicy pod Krakowem

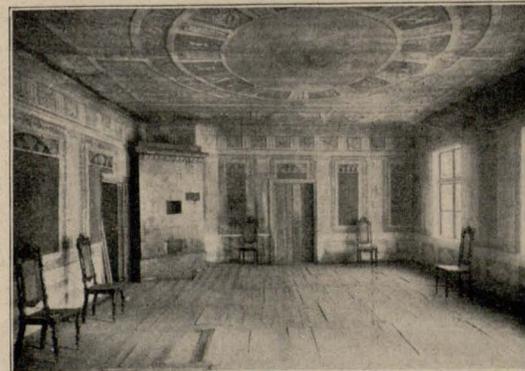
oczywiście więc w siedzibach wiejskich na świat przyszli młodzi bohaterowie nasi, wszyscy prawie więksi pisarze i artyści. Rysownicy zachowali nam widoki owych dworów, w znacznej części już nie istniejących, a przynajmniej zmienionych nieraz nie do poznania, dworów, w których ujrzeli światło dzienne: Pasek, Czarniecki, Kościuszko, Mickiewicz, Goszczyński, Zaleski, Feliński, Moniuszko, Kraszewski, Odyniec, Pol, Syrokomla i mnóstwo zasłużonych ojczyźnie ludzi.

Śliczny obraz dworu polskiego zamożnego szlachcica zostawił w znanym poemacie swym Morawski. „Dworzec mojego dziadka” jest wierną podobizną tych odwiecznych gniazd rycerskich, mieszkań onych wojowników niezwyciężnych, którzy po krwawych a tryumfalnych zapasach z pohańcem wracali do dom pod pantofel magnifiki, jako król Jan do swojej Marysieńki, i, zdjąwszy hełm hussarski z głowy, a skrzydlatą zbroicę z barków, wdzielali kitel płócienny, miast koncerza lub szabli niewinny obuszek w garść i szli w pole dopilnowywać „pańskim okiem” robót zwykłych, dobroduszni, poczciwi, spokojni, „godzinki” grubym basem podśpiewując. Wieczorem zaś siadywali radzi w ganku, albo na dziedzińcu pod rozłożystą lipą, pod starym wiązem, albo pod dębem piastowym, dzieje z przed półtysiąca lat pamiętającym. Czeladź dworska przeprowadzała konie, bydło szło z rykiem do wodopoju, zmrok schodził na świat w przepasce z gwiazd na skroni, gaśło szkarłatne słońce, na lasy ciemne spadając, a szlachcic, mopanku, miod trójniak ciągnął, z farforo-

tych mistrzów flamandzkich, holenderskich i włoskich, oto co oczy zdumionego cudzoziemca uderzało w tych siedzibach zacisznych, oddalonych od miast i, zda się, obcych wszelkiemu polorowi. Rzecz prosta, że nie w każdej wiosce miałeś dwór taki. Większość to były zwyczajne zagrody szlacheckie o paru komnatkach, sprzętami bylejakimi zastawionych, z kilimami na ścianach i ławach ze zbroiczką i szabelką na poczystym miejscu, ale wszystkie miały ten sam czar polskości i tę samą starodawną gościnność i zacność.

Choć za siódme szedłbyś góry,  
Za dziesiąte płynął morze,  
Nie napotkasz takich ludzi,  
Jak w tym starym, polskim dworze.

Nie napotkasz takich ludzi  
Za krajami, za cudzemi,  
Co to chętnie dadzą życie  
Dla swych braci, dla swej ziemi...



Sala jadalna we dworze orwistowskim.

BOLESŁAW PRUS:

## Cel i busola.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Na moje uwagi w *Tygodniku Ilustrowanym*, że polityka narodowej demokracji nie przyniosła nam szczęścia ani w dumie, ani wewnątrz kraju, odpowiedział p. Bolesław Koskowski, publicysta wielkiego talentu, jeden z najbliższych świadków działalności Koła polskiego w Petersburgu. Odpowiedź zaś p. Koskowskiego, jeżeli nie myślę się, jest skryształizowana w następującym zdaniu.

Prus—„uważa za możliwe jednorazowe pozyskanie dla sprawy polskiej czterech czynników, mogących na nią wpływać, a przynajmniej pozyskanie jednych bez narażenia sobie drugich. Tymi czynnikami są: rząd; rosyjska opinia publiczna; partie postępowe; partie konserwatywne. Otóż jest widoczne, że żadna na świecie polityka takiego cudu dokonaćby nie mogła, ponieważ każdy z wymienionych czynników jest nie tylko samoistny i samodzielny, ale oprócz tego przeciwstawiający się pozostałym innym, tak że, kto pragnie pozyskać sympatyje jednego, to—znowu z odpowiednimi stopniowaniami—musi utracić sympatyje drugiego”.

Gdyby chodziło o pobudki rozmaitych czynów Koła polskiego, gdyby chodziło o charakterystykę rosyjskich partii, zarówno w Dumie, jak i w społeczeństwie, gdyby wreszcie chodziło—o pozyskiwanie przez nas sympatyj tego lub innego stronnictwa rosyjskiego, polemizować z szanownym p. Koskowskim nie mógłbym. On mieszka w Petersburgu, bywa na posiedzeniach Dumy, patrzy, słucha, rozmawia z posłami, czego wszystkiego ja absolutnie jestem pozbawiony. Na szczęście w tym wypadku nie chodzi o szczegóły, lecz o kierunki i zasady ogólne, które nie zależą od miejsca pobytu, a na które chciałbym położyć nacisk.

Uwaga w nawiasie. Niejednokrotnie wspominałem o polityce w niniejszych kronikach, a poglądy moje—niekiedy—sprawdzały się. Otóż dotychczas nie formułowałem dosyć jasno zasad, na których się opieram. Zrobię to dziś i wyobrażam sobie, że zarówno p. Koskowski spotka tu odpowiedź na swoje uwagi, jak i czytelnik znajdzie podstawy moich rozumowań. Jeżeli się myślę—trudno, jestem przecie człowiekiem. Lecz gdybym się nie mylił?... gdyby mylili się inni?...

Wyobraźmy sobie politykę, jako podróż okrętem, podróż bardzo daleką, po morzu, na którym panują ciemności, burze, rafy i odmęty. Kapitanem płynącego statku jest rząd, a doradcą kapitana, niekiedy jego rozkazodawcą—parlament.

Otóż w owej podróży, pełnej niebezpieczeństw, wymagającej pracy, odwagi, cierpliwości, mądrości i t. p., kierownicy statku muszą mieć dwie idee: 1—mo jasno określony cel: dokąd jada? 2—dc busolę, która wskazuje im pewien stały kierunek, będący w związku z ce-

lem podróży. Rozumie się, że na statkach zarówno kapitanowie, jak i dozorczy ich, mogą być ludźmi mądrymi albo głupimi, dobrymi albo złymi, znającymi lub nie znającymi morza, po którym przyszło im żaglować... W każdym razie bez dokładnej znajomości celu i bez posiadania busoli—o kierowaniu podróżą mówić nie warto. Naodwrot zaś—ci, którzy znają istotny (nie jakiś fantastyczny) cel i mają busolę, prędzej czy później zdobędą sobie powagę co najmniej znawców, nie tylko u kapitana i jego rady, ale i wśród podróżnych, czyli—społeczeństwa.

W tem miejscu dałoby się wypowiedzieć sporo przygotowawczych wyjaśnień. Pominę je i odrazu zapytam: czy w ciężkiej podróży, jaką odbywamy na okręcie państwa rosyjskiego, stronnictwo narodowo-demokratyczne miało określony i wykonalny cel?... Nadto zaś—czy ono posiada busolę, to jest taką ideę, która jednostkom i narodom po wszystkie czasy wskazywać będzie stały kierunek doczesnej żeglugi?...

Odpowiedź. Stronnictwo narodowo-demokratyczne w ciągu kilku lat kilka razy zmieniło swoje cele. Przedostatnim—była autonomia Królestwa Polskiego, ostatnim... choćby—jakieśkolwiek ustępstwa dla naszej narodowości, choćby—cośkolwiek... Na pytanie zaś: jaką busolę ma stronnictwo narodowo-demokratyczne, która wskazywałaby mu najprostszą drogę do celu? mamy w odpowiedzi dwa hasła: „egoizm narodowy” i „walkę”—na wszystkie fronty. Czy ktokolwiek z należących do stronnictwa zaprzeczy temu?

Cele narodów bywają rozmaite i nierównej wartości praktycznej. Są takie, które utrzymują narody, i są takie, które je zarzynają. Celem naprzykład Francji jest zachować Rzeczpospolitą i bogacić się; Niemiec—stworzyć jednolite państwo na zadadach militarnych; Rosji—gromadzić ziemię. Celem Austrii, w tej chwili, jest posiąść Bośnię i Hercegowinę,

a Serbii—odebrać ową Bośnię i Hercegowinę, co antagonistów popycha do wojny... Nareszcie naszym celem przez wiek XIX było—odbudować Rzeczpospolitą polską w dawnych granicach, co pociągnęło za sobą olbrzymie klęski narodowe.

A tymczasem jakież jest prawdziwy i nigdy niezmienny, choć—niestety!—nie dość popularny cel narodów i jednostek?... Oto—mnożyć pomyślnie warunki bytu i doskonalić się fizycznie i duchowo. Porównajcie dla przykładu—niedołężstwo, nędzę i ciemnotę australijskiego Papuasa i dostatek, siły, rozum angielskiego mieszczanina, a zgodzicie się, że powyższa definicya jest prawdziwa.

Podobnie rzecz się ma z ową busolą, a raczej—stałym kierunkiem. Dla dawnych Egipcyan była nim nieśmiertelność ciał, dla Greków—sztuka i filozofia, dla Rzymian—silne państwo, dla pierwszych chrześcijan—troska o zbawienie duszy, dla dzisiejszych Niemiec—bezwzględna walka o byt, dla Anglików—korzystna i sprawiedliwa wymiana usług.

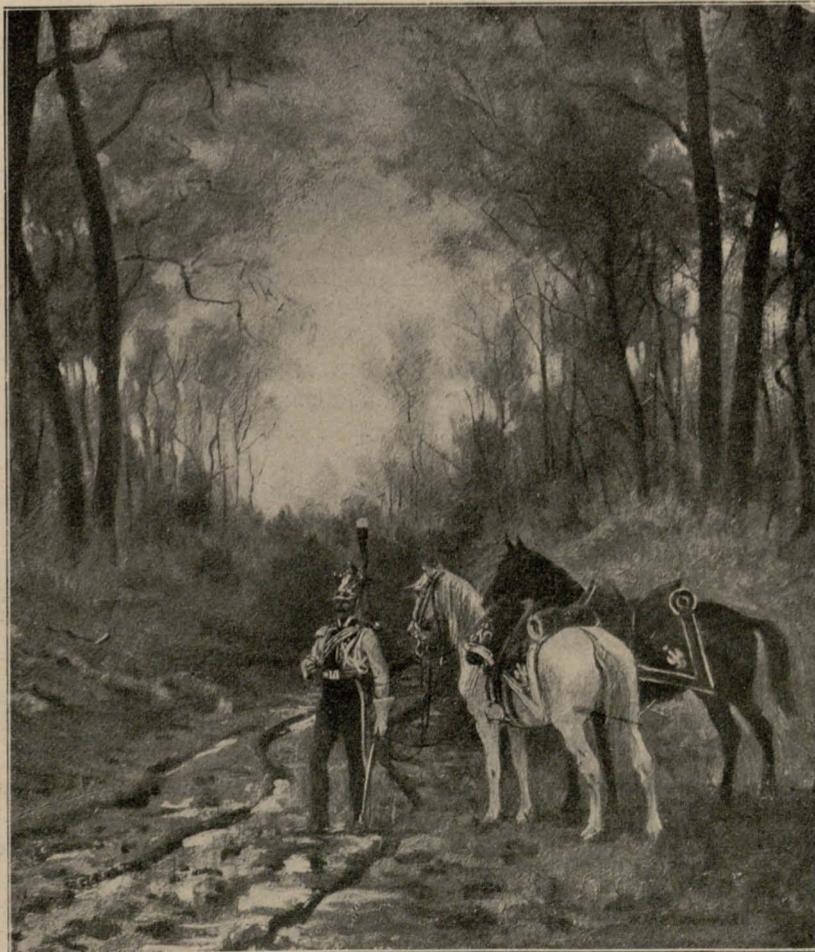
A prawdziwa zasada, prawdziwy kierunek jakim być powinien?... Zdaje się, że tylko—zasada wytwarzania użyteczności, połączona ze sprawiedliwą wymianą usług. Rolnik, rzemieślnik, kupiec, lekarz, uczonec, nauczyciel, odkrywca, wynalazca są to wszystko ludzie, którym całe życie płывa na pracy użytecznej i na oddawaniu tej pracy innym, za równoważne usługi. Toż samo dzieje się z narodami: każdy wytwarza coś użytecznego, część oddaje, a wzamian otrzymuje inne rzeczy użyteczne. Jest to handel, ale handel w najszerszym zakresie, w sferze nie tylko dóbr materialnych, lecz i duchowych.

W tem miejscu trzeba dodać, że każda idea: prawdziwa i wielka, czy fałszywa, ale głośno reklamowana, hypnotyzuje ogół, który działa tylko w imię owej idei, ją tylko widzi, a co gorsze: poza nią już nie umie dostrzedz nic innego. Dzięki temu—idee prawdziwe są piastunami, mistrzami narodów, idee fałszywe ich męką i przekleństwem.

A teraz spróbujmy zastosować powyższą teorię do naszych stosunków i naszej polityki.

Jeżeli, jako najwyższy cel, postawimy narodowi—naprzykład—autonomię, wówczas naród tylko na nią będzie się oglądał, dla niej pracował, dla niej składał ofiary. Gdy zaś owa autonomia, skutkiem tysiącznych przyczyn, nie nadejdzie, naród może wpaść w pesymizm i apatyę, będzie narzekał na złe czasy i osłabnie w pracach społecznych, twierdząc, że nic robić nie warto, gdyż nic się nie udaje.

Lecz, gdyby temu samemu społeczeństwu jego przywódcy z równą wytrwałością głosili, że celem życia jest usuwać cierpienia, mnożyć godziwe zadowolenia, potęgować siły fizyczne i duchowe, energię woli, szlachetne uczucia czyli—doskonalić i uszczęśliwiać jednostki i społeczeństwo, wówczas naród w każdym zagonie użyźnionej ziemi, w każdym nowym warsztacie, szkole, ochronie, w każdym dziele sztuki czy w dobrej książce widziałyby swoje zwycięstwa, pod wpływem



CZATY

W. MAZUROWSKI



OSTATNIE CHWILE SKAZANYCH (ROK 1793)

EDWARD PAWŁOWICZ

Obráz ten jest kopiá, wykonaná przez ś. p. Edwarda Pawłowicza, w czasie studiów w Galeryi Luksemburskiej w Paryżu, ze słynnej kompozycyi K. L. Mullera i stanowi własność hr. Zygmuntovej Wielopolskiej w Warszawie. Życiorys E. Pawłowicza podaliśmy w Nr 9 r. b.

których jego ekonomiczne, umysłowe i moralne postępy rozwijałyby się coraz dzielniej, coraz korzystniej.

Kto autonomię stawia za cel życia i pracy narodowej, popełnia taki zasadniczy błąd, jakgdyby za cel życia stawiał pieniądze, albo mieszkanie. Pieniądz, mieszkanie, autonomia są to, niezawodnie, ważne rzeczy, ale jako środki, nie zaś jako—cele. Bo jedynym prawdziwym i wiekiustym celem nie są formy społeczne, ale—rozwój życia i duszy. Gdy jednostki i społeczeństwo dojrzeje, autonomia zjawia się sama, jak wiosna po zimie; w razie przeciwnym, nawet napisana i ogłoszona autonomia może upaść, czego zresztą miewaliśmy dowody.

Przechodzę do idei-busoli, do idei kierowniczej. Możeż nią być „walka”, albo „egoizm”?... Egoizm indywidualny czy społeczny to przecie jest wada, to resztką zwierzęcości, a zaś walka między ludźmi jest nieszczerścią, jest zjawiskiem chorobliwym. Jakże więc można chorobę albo wadę czynić ideałem społecznym?...

Prawdziwą ideą kierowniczą dla ucywilizowanej ludzkości jest zawsze zasada: „Bądź użytecznym”... Zobaczymy zaś, jakie obowiązki praktyczne zasada powyższa sprowadziłaby do działalności Koła polskiego w Dumie.

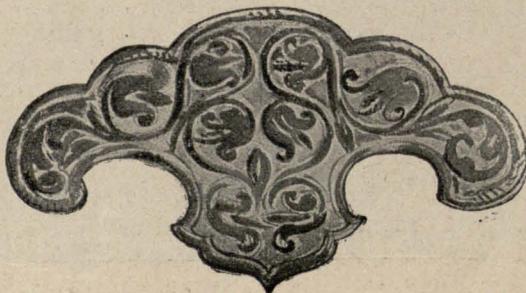
Przedewszystkiem, Koło w pierwszej i drugiej Dumie musiałoby przypominać rosyjskim postom, że—zadanie ich nie na tem polega, ażeby wymyślali ministrom, lecz ażeby jak najrychlej urzeczywistnili Manifest z 30 października, a więc: uchwalili ustawy o wolności osobistej, wolności wyznań, wolności stowarzyszeń, wolności zebrań, wolności druku, wolności oświecania się. Dalej—wciąż w imię zasady użyteczności, Koło musiałoby głosować za uchwaleniem funduszków dla szkół, a przeciw szkołom rusyfikacyjnym; za budżetem ministeryum wojny, a przeciw używaniu wojska do zadań policyjnych; za równouprawnieniem Żydów i wszelkich inorodców, gdyż

to spotęgowałyby wytwórcze siły państwa. Głosowałyby za wszelkimi środkami, mającymi na widoku dobrobyt klas pracujących, ale oświadczyłyby się przeciw budowie drogi żelaznej amurskiej; potępiłyby terroryzm, posługujący się bombami i brauningami, a jednocześnie protestowałyby przeciw stanom wyjątkowym, trwającym dłużej niż kilka dni lub tygodni, i tak dalej.

Zwracam uwagę, że podobna działalność Koła nie miałaby na celu pozyskania tego lub owego stronnictwa, lecz, w imię najwyższego Ideału, dążyłaby do—pomyślności i potęgi Rosyi. A jeżeli Duma i rząd nie składałyby się z samych zbrodniarzy lub waryatów, to właśnie taka praca zjednałaby Kołu polskiemu życzliwość wszystkich rosyjskich patriotów, bez względu na ministerya i stronnictwa. I nawet nieprzyjaciele Polaków taką działalność musieliby nazwać uczciwą, godną szacunku.

Gdyby zaś, pomimo kierowania się szlachetnymi zasadami, pomimo użytecznej pracy dla Rosyi, Koło polskie nie uzyskało żadnych ustępstw dla swego narodu, lecz, jak to ma miejsce dzisiaj, było obrzucane drwinami i obelgami, wówczas mogłoby, pięknie ukłoniwszy się, opuścić Dumę, w której ludzkie dobrej woli nie mieliby nic do czynienia.

Lecz wówczas nie tylko naród polski, ale cała Rosya i cały świat ucywilizowany musiałby przyznać, że Polacy, wezwani do łoża chorego państwa, wypełnili swój obowiązek, ale państwo nie wypełnia go względem Polaków.



SZYMON TOKARZEWSKI:

## ZE WSPOMNIEŃ KATORŻNIKA.

„JEDEN... PIĘĆ...”

2)

Czuchonow uważa to za wielki dowcip. Wybuch śmiechem, do rżenia starego ogiera podobnym:

— Naści i tobie! użyj i ty—i wręcza dziadowi flaszę z gorzałką.

Emiliaszka chwyta cenny podarunek.

— Kłaniam się nisko! pięknie dziękuję „waszemu przewoschoditeľstwu”—mamrocze, flaszę miłośnie tuli do piersi i znika...

Nad ranem dziewczki służebne podnoszą z podłogi w najgłębszym śnie pogrążonych dostojników, ładują ich na wóz, do którego zaprządź i którym powozić musi biedny Romek, ponieważ „kuczer”, za przykładem swoich chlebobawców, spił się i dobudzić go niepodobna.

Tylko najmłodsze dziewczęta są prawie trzeźwe i żegnają z Nanią, bo Czuchonowowie już też chrapią w swojej sypialni, według etykiety syberyjskiej, nakazującej wyliczać wszystkie potrawy i napitki, jakie były podane gościom, a nawet wszystkie przyprawy, do potraw użyte. Więc mówią:

— Dziękujemy wam, Mełania Ignatiewna, i wam, Timofiej Wasiliewicz, i wam, Nanią Timofiejewna, dziękujemy za herbatę, cukier i arak, za słodkie kołaczki i sajki, za pierożki, za ryby, mięso i wódkę, za cedrowe orzeszki, dziękujemy pokornie i kłaniamy się nisko.

Następuje bicie pokłonów.

A Nanią też kłania się odchodzącym i zaprasza w zastępstwie nieobecnych rodziców:

— Pokornie prosimy, przyjdźcie w niedzielę do naszego domu.

Znużony bezsennością, a bardziej widokiem scen, których był świadkiem, Romek równo ze światem musi otworzyć kram i stanąć za ladą.

\* \* \*



NAD BAJKALEM

SZYMON TOKARZEWSKI

Naniła zakochała się w „prykaczychu”.

Dziewczyna przypuszcza nieustanny szturm do jego serca i zmysłów, czem, zamiast spodziewanej miłości, budzi wstępną w człowieku wykwiętym, delikatnym i subtelnym, jakim był Romek.

Wreszcie, po wyczerpaniu wszystkich sposobów zdobycia miłości zakazanej, sama wyznaje mu, że go kocha, i proponuje, aby ją zaślubił.

Romek za miłość i oświadczenia dziękuje, ale zarazem odmawia w sposób grzeczny, lecz bardzo stanowczy.

— Gdzieżby tam—tłomaczy Romek—taki bogacz, jak cny Timofiej Wasiliewicz, oddał swą jędnaczkę za żonę ubogiemu „prykaczychowi”?...

— Et!—w szyderczym uśmiechu Naniła białutkie zębki wyszczerza—ktoby tam zważał na starego niedźwiedzia! Jeszczeby też! Drapniemy sobie i bastal!... Pojedziemy do Paryża i pobierzemy się w Pa-ry-żu! — nazwę nadsekwąńskiej stolicy skanduje sylaba po sylabie, śledząc uważnie, jakie też wrażenie na ukochanym uczyni ta nowa jej propozycja.

— Do Paryża chcecie jechać, Naniło Timofiejewno?—dziwi się Romek— a skąd pieniądze na drogę?

— Och! o pieniądze kłopot najmniejszy!— lekceważąco wzrusza ramionami dziewczyna.

W kilka dni po tej rozmowie Naniła proponuje, aby Romek zaniósł za nią kołaczki, które matka upiekła dla popadyi.

— Weź Praskowię, zawsze coś niemądrego strzeli ci do głowy!—burczy kramarz—„prykaczych” musi rozpakowywać skrzynie z towarami. On ma przy sklepie dosyć roboty, nie od tego jest, żeby za tobą roznosił kołaczki.

Naniła zachmurza się, udaje, że łka, zasłania oczy i mówi jęklawie:

— Praskowia pierze dla mnie spódnice na niedzielę... mam tak mało spódnic... kosz z kołaczami wezmę sama, podźwigam się i zachoruję...

— Cicho! cicho! „mileńka”! ile ci potrzeba spódnic?... Dwie?... trzy?... dziesięć?... no! gadajże, będziesz miała, ile zechcesz. Tylko o choro-

bie nie gadaj, abys zaś w złą godzinę nie wymówiła!—krzyczy kramarz, zdejmując czapkę, żegna się, bije pokłony przed ikonami, poczem spluwa dla odpędzenia „złej godziny”, wreszcie rozkazuje:

— Romanie Karłowiczu! bierzcie kołaczki i idźcie z Bogiem! Nie bałamućcie zaś długo.

Poszli. Oddali popadyi kołaczki. Naniła nie przyjęła poczęstunku, ale, rzuciwszy towarzyszowi rozkaz, aby szedł za nią, skręciła za wsią w las.

Romek jakiś czas szedł posłusznie, wreszcie zrobił nieśmiałą uwagę, że Timofiej Wasiliewicz kazał powracać śpiesznie.

— Nie ojcu mojemu, aie mnie musisz od-tąd służyć, Romanie Karłowiczu! Rozkazuję wam iść za mną!—zawołała.

Była podniecona niezwykle i śliczna w tem podnieceniu. Zaciekawiony, trochę trwożny, szedł za nią, bo wreszcie cóż innego mógł uczynić?...

Z ciemnego boru wyprowadziła go na polankę jasną, blaskami słońca pozłoczoną... Biegła niedbale, deptając białe gwiazdziste rumiany, lilio-we wonne irysy, purpurowe żarki, kępy niezabudek błękitnych i puszystą, zieloną murawę.

I znów skręcili w bór gęsty, w którym nie było ani drogi, ani ścieżek, ani żadnych śladów ludzkich.

Torowali sobie przejście z trudnością.

Ona odchyłała kolczaste gałęzie i szła, nie oglądając się na niego, a tylko często rzucając mu rozkaz:

— Idź za mną!

Szedł... Ze zbocza stromego wzgórze zsunęli się w cieniastą dolinę... Środkiem, na skalistym podłożu, szemrzając wartko, płynęła rzeczulka.

Szli jej brzegiem. Wreszcie Naniła przystanęła zdyszana i, odetchnawszy cokolwiek, otworem wązkim wślizgnęła się w głąb granitowej skały.

On za nią...

Zaświeciła latarkę... Przy mdłym świetle ujrział grotę, pełną olbrzymich głazów i mniejszych odłamów granitu... Nagle dziewczyna znikła mu z oczu, jakgdyby wraz ze światłem zapadła się

w jakąś otchłań. Po pewnym czasie, który Romkowi wydał się niezmiernie długim, ukazała się znowu, trzymając w rękach szkatułkę żelazną... Otworzyła ją zdjętym z szyi kluczykiem, wyjęła z niej drugą drewnianą, z tej drewnianej skórzaną worek... Rozwinąwszy go, zdumionemu Romkowi podsunęła pod oczy wielką pakę banknotów.

— Ot! za co zawiozę cię do Paryża, Romanie Karłowiczu, ot! za co będziemy jedli, piili we dnie, a hulali po nocach...

Cisnęła skrzynki... Stokrotne echa powtórzyły łoskot. Widocznie w skale był cały szereg pieczar... Kazała mu wysunąć jeden z głazów, przewrócić go... Dłótkiem podważyła kwadrat, tak misternie z bryłą granitu spojony, że go nie postrzegłoby najbystrzejsze, ale nieświadome oko. Z głębokiego otworu w granitowej bryle wydo- była żelazne pudełko...

— I to zabierzemy także — mówiła—pieniędzy nam nigdy nie zbraknie... patrz, co tutaj jest!...

W pudełku były farby, delikatne pędzelki, trochę metalowych liter, z których kilka już było złożonych w wyrazy:

JEDEN RUBEL.

PIĘĆ RUBLI.

Z innych liter można było składać wyrazy, zwykle na banknotach drukowane...

Roman zrozumiał teraz: rzekomy kramarz, Timofiej Wasiliewicz Czuchonow, był fałszerzem pieniędzy, za które podczas swoich wycieczek w dalekie okolice kupował futra, ryby suszone i wszelkie towary do swojego kramu.

— Wścieknie się stary Timofiej Wasiliewicz, kiedy czmychniemy i skoro swoich skarbów i maszyn do ich wyrobu nie znajdzie!... Pewno najpierw tutaj przybiegnie, skoro naszą ucieczkę spostrzeże. Myślał, że na zawsze u niego zostanie. Stare bydle! „swotocz”!...

Nagliła do ucieczki, na którą Roman przystał pozornie. A w pierwszą noc burzliwą i ciemną uciekł sam. Zabrał z sobą kilka krwawą pracą uciutych rubli, wziął kilka kromek chleba, które z wydzielanych mu porcy odkładał, i puścił

się w nieznaną, niezmierną obszar pustyni. Zgubił kluczyk od zegarka, stracił miarę czasu, bo nieraz w jakiej jamie, w zeschniętym listowiu zagrzebany spał, nie wiedząc, jak długo. Może jedną?... dwie doby?... trzy?... Spożył zapas chleba, zdarł obuwie, zgubił czapkę, odzież wisiła na nim w strzępach, on zaś uciekał ciągle... Nagle zaczęła go opuszczać odwaga, nadzieja i świadomość.

Obudził się w pobliżu Bajkału, w „postojannym domu” \*) wsi Kurtuk\*\*).

To, co wydało się Romkowi „przebudzeniem”, było przyjściem do zdrowia po ciężkiej, niebezpiecznej chorobie.

Kto i kiedy go znalazł, nie wiedział. Odzyskał zdrowie fizyczne, ale władze umysłowe biedaka przyćmiły się... Wydaje się zdrowy, silny, aż tu nagle wpada w omdlenie, potem w furę... zrywa się, chce się kryć i uciekać z krzykiem:

— Jeden! Pięć!

Bracia-wygnañcy zaopiekowali się biedakiem i wyjednali mu świadectwo lekarskie, że jest „sumasszedziej”. Odwieźli Romka na Białoruś i oddali matce.

Przyćmienie umysłowe było tylko chwilowe. Przy dobrej kuracji, przy pieczołowitej opiece matczynej władze umysłowe wróciły w całej pełni, tylko wesołość odbiegła go na zawsze...

W Haliczu odbierałem od niego listy niezmiernie smutne, a od śmierci matki wprost beznadziejnie rozpaczliwe. Biadał, że nie ma komu zostawić majątku.

...— Ożeń się, Romku! nasze kobiety są tak dobre, tak dzielne, tak towarzyszkami życia — radziłem mu w jednym z listów. Ożeń się!...

...— W urodzie panny Heleny, w jej towarzystwie gustuję coraz bardziej! Niema co w bawełnę obwijać!.. Bracie! ja w Helence zakochałem się po uszy... Codzień, chociażby na parę chwil, zaglądam do O...

...Wczoraj wyznania i prośby gwałtem z bijącego serca wyrwały się na usta moje... Już miałem wyciągnąć ku niej ręce i prosić: pójdz ze mną! przez ciernistą drogę życia ku dobru i światłu, pójdz ze mną, droga!.. Nagle przez mózg przemknęło mi wspomnienie straszne: wspomnienie mego szaleństwa... Chwilowy był ten obłąd, to prawda!.. Ale co będzie, jeśli powróci? jeśli kiedy od boku ukochanej żony zerwę się nagle i tym strasznym głosem szaleńca zacznę wyc:

— Jeden! pięć!.. Jeden! pięć!..

Cóż będzie wtedy?..

Nie! taki nieszczęśnik, jak ja, nie ma prawa wiązać z sobą ukochanej kobiety... nie ma prawa stwarzać rodziny... Bóg czuwał nade mną i nad nią... Pod jakimś błahym pozorem pożegnałem Helenę i z ręką na wizerunku Ukrzyżowanego przysięgłem, że moja noga nigdy nie zostanie w O.

Złą radę dałeś mi, bracie... taki nieszczęśnik, jak ja, nie ma prawa się żenić.

ROMAN.

## Następca Tarnowskiego.

Od dwóch lat szerzyły się pogłoski, że Stanisław Tarnowski, profesor literatury polskiej uniwersytetu krakowskiego, po 40 bezmałych latach pracy pedagogicznej, syt trudów i chwały, porzuca katedrę i usuwa się na zasłużony odpoczynek w domowe zacisze.

I po wszystkich ziemiach polskich zadawano sobie pytanie: kto obejmie ciężkie i odpowiedzialne dziedzictwo po znakomitym autorze „Stydów do historii literatury polskiej” i „Naszych dziejów porozbiorowych”?

Pytanie to miało nie tylko czysto miejscowe, uniwersyteckie znaczenie i wagę, bo przedewszystkiem do uczelni krakowskiej ściągają tyle młodzieży ze wszystkich dzielnic Polski,

\*) Tak na Syberii nazywają mieszkanie, które gmina wynajmuje i urządza dla przejeżdżających urzędników.

\*\*) W pobliżu wsi Kurtuk są pokłady drogich kamieni: apas lazuli, bajkalitu, kryształu górskiego, grafitu i w. in.

a potem—wykładać historię literatury ojczyznej w prastarym grodzie Piastów i Jagiellonów, i to po takim mistrzu, jakim był Tarnowski — zaszczyt to wielki i placówka jedna z najbardziej czołowych w naszym społeczeństwie.

I oto w tych dniach właśnie trudna ta sprawa znalazła rozwiązanie jak najpomyślniejsze: na osieroconą ustąpieniem Tarnowskiego katedrę został powołany młody, a już wielce w nauce zasłużony badacz, Ignacy Chrzanowski.

Urodzony w ziemi siedleckiej, wychowaniec wydziału historyczno-filologicznego w uniwersytecie warszawskim, Chrzanowski dalsze studia odbywał w Niemczech, we Wrocławiu i Berlinie, pod okiem takich znakomych przewodników, jak Nehring i Brückner.

Tym ćwiczeniom przygotowawczym zawdzięcza on rozwój zmysłu krytycznego, upodobanie do badań ścisłych, trzeźwość umy-



IGNACY CHRZANOWSKI.

śłu, zdobycie szerokiej podstawy do badań porównawczych.

Już pierwsze jego prace, jeszcze na ławach uniwersyteckich rozpoczęte, o dramacie Szymonowicza „Castus Joseph,” o „Zwierzyńcu” i „Facecyach” Reja, kazały żywić jak najlepsze nadzieje o przyszłości pracy naukowej młodego badacza.

I ziściły się nadzieje. Osiedliwszy się na stałe w Warszawie, w krótkim czasie zdobywa sobie rozgłos i uznanie. I oto w roku 1900—33-letni uczonej zostaje zaszczycony powołaniem na stanowisko redaktora jednego z najpierwszych miesięczników polskich, *Ate-neum*, po Spasowiczu i Chmielowskim. A po jego zamknięciu krząta się około stworzenia nowego organu naukowego, badaniom historyczno-literackim poświęconego, p. t. *Pamiętnik Literacki*.

Trudy redaktorskie, gorący współdziałanie we wszystkich pracach społeczno-kulturalnych w naszym mieście nie wypełniają mu życia: znajduje czas i na badania naukowe.

Wydawnictwo nieznanych wierszy Sępa Szarzyńskiego i Anonima-protestanta z XVI-go wieku to zaledwie cząstka drobna tej dani, jaką nauce polskiej złożył w ofierze.

Bo oto przychodzi kolej na dwa znakomite studia: o Skardze i jego „Kazaniach Sejmowych”, oraz o Marcinie Bielskim.

Jeżeli dawniejsze prace Chrzanowskiego były cennymi przyczynkami, to te dwa ostatnie studia zasługują na zaszczytne miano monografii, w których analiza drobiazgowo, na metodzie ścisłej wsparta, zjednoczyła się z umie-

jętą syntezą—i oto stanęli przed nami dwaj znakomici prozaicy nasi wieku Zygmunta w całej pełni swych zasobów duchowych.

I nie skąpy jest: hojnie udziela ze skarbnicy swej wiedzy rozległej—maluczkim. Chrzanowski należy do tych nielicznych erudytów, którzy łączą gruntowną znajomość przedmiotu z talentem popularyzatorskim. W Warszawie nie znalazł godnego siebie pola działalności w tym kierunku: praca nauczycielska w średnich zakładach naukowych, popularne odczyty, wygłaszane w salach publicznych (część ich wydał p. t. „Okruchy literackie”) — oto jedyne, na gruncie warszawskim, owoce bezpośredniego oddziaływania Chrzanowskiego na rzeszę.

Ale jest i wpływ pośredni. Największą zasługą popularyzatorską Chrzanowskiego, zasługą, która mu będzie policzona przy ostatecznym obrachunku czynników rozwoju kultury narodowej, jest jego „Historia literatury niepodległej Polski”.

W dziele tem, pomyślanem, jako podręcznik, ale znacznie przewyższającym zakres wymagań, jakie pracom tego rodzaju zwykliśmy stawiać, najlepiej wypowiedziała się dusza autora.

Tak, dusza! Bo „Historia literatury” to dzieło nie tylko rozumu, obejmującego i przenikającego nawskroś przedmiot badań, ale i gorącego serca.

Chrzanowski ukochał gorąco przeszłość swego narodu, ale ukochał rozumnie. Nie patrzy przez palce na wady epok minionych, nie pobbłaża nikomu i niczemu, nie szczędzi barw ciemnych i gorzkich słów prawdy, nawet wbrew własnemu sercu, kiedy mówi np. o czasach saskich.

Ale umie z tej przeszłości wydobyć to, co było w niej najszlachetniejszego: wzniosłe ideały służby publicznej, wytrwałej bezinteresowności, miłości Boga i bliźniego. Chrzanowski rozumie doskonale, że dzieje literatury ojczyznej to nie luźny zbiór wiadomości, życiorysów, bibliograficznych szczegółów i streszczeń, ale i potężny środek wychowawczy zarazem. I śmiało powiedzieć można, że podręcznik ten to czyn obywatelski wielkiej wagi i doniosłości *społecznej*, nie tylko naukowej. I długo jeszcze młodzież czerpać stąd będzie naukę, jak żyć — nie rozkoszy gwoli, ale by spełnić wszystkie swoje zadania doczesne, nie ominąć żadnego obowiązku.

Trzeźwość sądów, a przytem niezłomne umiłowanie przedmiotu, wysoka bezstronność historyka-sędziego, a zarazem czujny krytycyzm w ocenianiu rzeczy i ludzi, drobiazgowość i źródłowość badań, a z drugiej strony umiejętność wyboru tych zjawisk życia duchowego narodu, które są naprawdę typowe, i układania z nich obrazu obyczajowości i kultury epoki, a wreszcie—najzupełniejsza niezależność sądów i poglądów, brzydząca się, jak rzeczą podłą, wszelkiem przykrawaniem nauki *ad usum Delphi*—oto zalety „Historii literatury” Chrzanowskiego, zalety, które rozwinie w całej pełni na nowym terenie, oto ziarna, które sięć będzie w dusze młodociane—na zbożne i obfite żniwo.

I nie mówmy, że szkoda go dla Warszawy, bo naród jest jeden i kultura jedna, co nie zna kordonów i o paszporty nie pyta. A jednocześnie cieszymy się nadzieją, że do Warszawy powróci, by w dawnym pałacu kazimierskim przedmiot swój ukochany w polskiej uczelni wykładać.

Oby to rozstanie się nasze z nim było jak najkrótsze!

JAN KASPROWICZ:

## Z Cyklu: „CHWILE”

III.

CICHO ZA NAMI SUNIE CIEN ŻYWOTA.

Cicho za nami sunie cień żywota,  
Stworzon przez słońca krąg, który już kona...  
Patrząc, jak szczyty drżą w rozbłyskach złota,  
Jak obrzeż lasu zasypia ściemniona...

Wszakżeż to było gdzieś pod koniec  
września

Przymykam oczy, aby tem wyraźniej  
Ujrzyć tę chwilę, która się rozpieśnia  
W hymny zachodnich zórz, gdy owi głąźni

Martwi rycerze płoną ich ogniami  
Na zimnych licach... Przyjacielu miły!  
Tak! zśliśmy sami, a jednak nie sami,  
Zśliśmy bezsilni, jednak pełni siły—

Słabość na myśli mając, obaj przecie  
Czuliśmy w duszy, że moc nam jest bliska:  
W ślad nasz zdążyły w tym mierzchnącym  
świecie

Drogie imiona dwa, drogie nazwiska.

Skąd nam wyrosły: z nizin czy wierzchołów,  
Prawdą czy kłamstwem nazwie się ich trwanie,  
Po cóż nam w sercu ciężać miał ten ołów?  
Dwieśmy w południe zobaczyli łąnie,

Pijące wodę z błękitów potoku,  
O takiej żarów głębi niemowlęcej  
W tem nieporadnym, a tak śmiałym oku,  
Że—do wieczora cóż nam trzeba więcej?

Stać w tem obliczu gór! Z zapartym w łonie,  
A tak swobody pragnącym oddechem  
Patrząc bez żalu, jak na wieki tonie,  
Z lasów i źródołów nie złączona echem,

Ta, niżli oddech krótsza, jedna, błoga  
Chwila pragnienia!... Stać na tej murawie,  
Którą przecina kamienista droga:  
W żywiołów dawnej, dziś umilkłej wrzawie

Zwał lodowcowy zaścielił to łoże—  
Stać tak i słuchać z rozwartą powieką,  
Jak te dwa kształty, nieskalane, Boże,  
Słodko się pieszczą z tą odwieczną rzeką

Odzwierciedleniem swych żrenic!... O święta  
Chwilo rozkoszy, tajemniczych grodów  
Tajna mieszkanko! Serce niech pamięta,  
Że niezależna jesteś ni od wschodów,

Ani zachodów!... Niezmarła tęsknota  
Wciąż cię zamyka w swe drżące ramiona—  
Cicho za nami sunie cień żywota,  
Stworzon przez słońca krąg, który już kona.

Późno na polach tych górskich dojrzewa  
To liche zboże... Tam już zapomniano,  
Jak się od ziarna oddzieliła plewa  
Pod twardym cepem, a tu chłodne rano,

Kto wie, czy jeszcze tych owsów nie zwarzy,  
Zanim je skoszą... Ale na co, powiedz,  
Ma troska ludzka siadywać na straży  
Dnia jutrzejszego?... Taki jest manowiec,

Kręty i ciemny u dalekich granic  
Tych myśli naszych, że lepiej, zaiste!  
Świadomość przyszłych dni mieć sobie za nic,  
A to radosne dzisiaj, to złociste

Zachodzącego słońca rozebrzmienie  
Łączyć w akordy, których niechaj słucha  
Twoje i moje serce, póki cienie  
Bezwzględna ręką nie przytłumi ducha

Jaśni rozbrzmiać... Przytłumią? Nie! Oczy  
Mamy otwarte. Patrzymy, jak się palą  
Te płachty owsa! Jak z tej złotej zbroczy  
Spływają kłosa, aby zlać się z falą

Tego potoku!... Nim nas droga znuży—  
Prawda, czy może stępić nasze zmysły,  
Takie znużenie w tej dziwnej podróży?—  
Mój przyjacielu, kwiaty nam rozbłyły,

Dwa cudne krzewy krwawych róż wyrosły,  
Przedwczesnym mrozom wydarte i śniegom...  
Śpieszmy się, śpieszmy, nim je zerwą posty  
Takich, jak nasze, żądź! Zazdrośnie strzegą

Ich wiotkich koron przymilkłe wichury,  
Na czas dogodny czyhające... Wcześniej  
Pewnie—ć zaszumią złowróżbnymi pióry,  
Niżli nadziei naszych sen się prześni.



JAN KASPROWICZ.

Powołanie Jana Kasprowicza na katedrę literatury powszechnej uniwersytetu lwowskiego spotkało się z powszechnym uznaniem. Przed rokiem już *Tygodnik Ilustrowany* sygnalizował w osobnym artykule powstanie tego zamiaru w kołach akademickich grodu nadpółwianńskiego. Dziś zamiar ten przybrał szatę czynu. I słusznie. Bo autor „Krzaku dzikiej róży” jest nie tylko poetą utalentowanym, jednym z tych, co najlepiej odczuli i wyrazili duszę współczesnego człowieka, ale i wytwornym znawcą literatury europejskiej, o rozległym umyśle i wiedzy wszechstronnej. Dał tego dowody w licznych swoich przekładach. Przyswoił naszemu piśmiennictwu kilka znakomitych dzieł dramatycznych angielskich, jak np. Shelley'a „Rodzina Cencich” i „Oedipus tyrannus”, czyli „Opuchłydziec król”, Swineburne'a „Atalanta w Kalydonie”, oraz Marlowe'a „Tragiczne dzieje doktora Fausta”, wreszcie „Próby angielskiej poezji dramatycznej” (Roberta Browninga „Na balkonie” i Williama Butlera Yeatsa „Księżniczka Kasia.”) Wydał też w pięknym przekładzie całą antologię „Poetów angielskich;” sięgnął do poezji dramatycznej włoskiej (Gabryela d'Annunzia „Franceska z Rimini”), francuskiej (Maeterlincka „Siostra Beatrix”), oraz greckiej (Ajschylosa „Prometeusz skowanyz”). Już same te tytuły są niezmiernie wymowne.

Tak! trzeba skrócić sobie drogę! Tędy!  
Przejdźmy przez potok—brnij—że, brnij!—  
A potem  
Zuchwałą stopą podepcemy grzędy  
Ludzkich mozołów, nieopłatnych złotem.

W cudzy się ogród skradamy—cóż szkodzi,  
Że w cudze zboże krok się nasz zagrzebie?  
Któż tu właściciel zresztą, a kto złodziej?  
Jest tylko człowiek, sam jest i dla siebie.

Nikogo, mówię—ć, nie słuchaj, jedynie  
Własnego serca, jeśli serce swoje  
Umiałeś życiem zamienić w świątynię,  
W której się ciszą stają niepokoje

Życia... A wszakże nam w tej głębi wnętrza  
Wielka tęsknica posiała już ziarna  
Milczącej ciszy; przedsię ta jest świętsza  
Od głośnych modłów; cna jest i ofiarna:

Oddaje duszę i ciało... Niech liście  
Kopią nam doły, groźne sypią szańce:  
O prawach świata myśl, jak o przepisie,  
Który łańcuchy stwarza i kagańce

Dla psów... Człowieka sieć ich nie omota,  
Że jest człowiekiem, w tem jego obrona—  
Cicho za nami sunie cień żywota,  
Stworzon przez słońca krąg, który już kona...

Dokąd zdążamy, ach, dokąd zdążamy,  
Dwaj wspólnym losem skuci przyjaciele?  
Patrz! na jaworach zwieszają się płamy,  
Jasne, ogromne—śmierci to wesele

Tak się jarymi rozhułało blaski  
Tam! na tym lesie, nad tą pól roztoczą?  
Nikte dwa widma nieuchwytniej Łaski  
Wioną przed nami, głucho, sennie kroczą,

W mgieł zróżwione tulą się opary,  
Snać, że już ziemską opuszczają niwę—  
A może, słyszysz? może jestem stary?  
Raz wypowiedzieć trzeba to straszliwe

Słowo, choć takim napełnia mnie lękiem  
Przymus żegnania domu, tu, gdzie człeczce  
Czuje się serce człeczem, nie rozdźwiękiem,  
Który się złudnie naszym śladem wlecze,

Aby zakłócać Rzeczywistość... Może  
Gaśnie już oko moje, może traci  
Władzę i w chwili dzisiejszej przestworze  
Już nie odróżnia widma od postaci,

Bryły marmuru od lotnego puchu,  
Tego, co zwiemy leniwym zastojem,  
Od pewnych siebie wzlotów, tak, od ruchu,  
Dowodu mocy!... Ale w wnętrzu twojem

Wszakże jest młodość! Wyteż wzrok! Do głębi  
Wniknij w dręczącej tej zagadki sedno,  
Pozór czy prawda?... Idźmy. Nie wyziębi  
Ognia w mem sercu starem ani jedno

Prawo rozumu!... Śpieszmy się! Do płota  
Naszych ogrodów droga nie zamglona—  
Cicho za nami sunie cień żywota,  
Stworzon przez słońca krąg, który już kona...

## Z Rapperswilu do szwajcarskiej Częstochowy.

Dziwne ogarnia nas uczucie, gdy po paromiesięcznej wędrówce szlakami europejskich traktów turystycznych przestąpimy progi polskiego muzeum w Rapperswilu. Tu „kawałek Polski”, szepcą z rozrzwinięciem stęsknieni do kraju podróżnicy, ku wiecznej rzeczy pa-



Zamek w Rapperswilu.

miątce zapisując swe imiona w księdze muzealnej. Frazes ten słyszałem kilkakrotnie, przyrósł on niejako do starego zamku, ongi groźnego hrabiów „na Rappertschwylu” dziedzictwa, dziś spowitego w odwieczne bluszcze cichego schronienia pogromowych relikwii tułaczy. A przecie dla spragnionych serc polskich nie masz tu tętniącego życiem źródła, a tylko dumanie smętne nad pomnikiem sławy.

Gdy o wieczornej porze z mroków sennego jeziora odezwą się głosy ukrytych gdzieś w górach dzwonów, uderzą wpierw całą gamą w omszałe mury zamczyska, potem zrazu zgasną, ścichną i już tylko delikatnym echem rozpląną się w przestworzu, wówczas chyli się głowa w tęsknym zadumaniu, myśl polata hen,



Wacław Karczewski, bibliotekarz Muzeum polskiego w Rapperswilu.

ku Polsce dalekiej, a przed oczyma duszy wstają jakieś dziwy czarowne, przeszłość jawi się w królewskiej purpurze i zwycięskim orłów poszumie, aż zwolna rozwieje się we mgle marzenia obraz uroczy, i łzy gorące a gorzkie na lica wypłyną.

Na zamku cisza. Z kolumny barskiej zrywa się orzeł jasnoskrzydły, co z wolnej Helwetów ziemi świadczy o niepożytych duchu narodu.

Trudno o bardziej romantyczne ustronie dla pamiątek przeszłości, jak Rapperswil. Na-

wet w Szwajcaryi. Cicha miścina, położona nieco na uboczu od zgiekliwego szlaku podróźniczego, ożywia się latem skutkiem napływu turystów. Sporo bywa tu Polaków. Znają nas, i mowa polska nie wydaje się dla mieszkańców Rapperswilu jakimś barbarzyńskim dyalektem z Północy. Różnice plemienne Słowian, przynajmniej najistotniejsze, zarysowują się w pojęciach miejscowej ludności nader dokładnie. Sądzę, że niemały wpływ pod tym względem wywiera muzeum, bardzo licznie uczęszczane przez Szwajcarów. Z podziwem nieraz słu-chałem, z jakim zainteresowaniem „bürger’zy” rapperswilscy dopytywali się oprowadzającego ich przewodnika, i to zapewne nie po raz pierwszy, o Kościuszkę lub Mickiewicza.

— Szwajcarzy chętnie zwiedzają nasze zbiory—poinformował mnie uprzejmie kustosz muzeum, p. Rużycki, postać tak dobrze znana wszystkim rodakom, przebywającym dłużej lub krócej w Rapperswilu—w roku zeszłym (1907) z ogólnej liczby 3,736 zwiedzających było 1,810 Szwajcarów, i tak jest corocznie. W ostatnich latach rady pedagogiczne szkół początkowych zaleciły nauczycielom odbywanie z uczniami wycieczek dla obejrzenia pamiątek polskich w naszym muzeum; takich gości mieliśmy już kilkakrotnie.

— A wielu też Polaków bywa rocznie w Rapperswilu?—zapytałem.

— Około tysiąca. Są to przeważnie turyści, zaglądający do nas przelotnie, od pociągu do pociągu, choć niekiedy zatrzymują się



Włodzimierz Rużycki de Rosenwerth, kustosz Muzeum polskiego w Rapperswilu.

tu i dłużej dla dokładniejszego obejrzenia zbiorów.

— W jakim stosunku wzrasta zainteresowanie społeczeństwa polskiego do muzeum, czy nowe okazy z kraju licznie napływają?

— Pod tym względem nie może być oczywiście żadnej normy. Najbardziej jednak pamięta o Rapperswilu emigracja; w kraju mamy muzea na miejscu, do nich więc przede wszystkim dostają się pamiątki.

Muzeum rapperswilskie istotnie nazwać można skarbnicą emigracji; wymierające wychodźstwo polskie składa w niem ze wciąż przechowywane dokumenty rodzinne, pamiątki tułaczey swej doli, zabytki przeszłości i t. p. Dlatego utrzymanie takiego muzeum na obczyźnie jest koniecznym, inaczej te nieocenione dla badaczy świadectwa działań naszej emigracji rozproszyłyby się i zaginęły bezpowrotnie.

— Niema roku—mówił do mnie bibliotekarz, p. Wacław Karczewski, znany zaszczytnie pod pseudonimem Jasięczyka powieściopisarz i dramaturg—aby ksiąźnica rapperswilska nie powiększyła się jakim znaczniejszym darem. Niedawno otrzymaliśmy bibliotekę jednego ze stowarzyszeń młodzieży polskiej w Szwajcaryi; do archiwum przybyły świeżo cenne rękopisy po Guttrym i Asnyku. Usyste-

matyzowanie naszych zbiorów wymaga długich lat pracy, niestety, brak środków nie pozwala na prowadzenie jej w szybszym tempie.

— Ile też druków liczy biblioteka?—zapytałem.

— Około 75 tysięcy. Są to przeważnie wydawnictwa emigracyjne, pod względem ich



Andrzej Towiański (Muzeum polskie w Rapperswilu).

ilości możemy współzawodniczyć jedynie z biblioteką polską w Paryżu, żaden krajowy księgozbiór nie posiada tak kompletnego zbioru. Natomiast brakuje nam dzieł nowszych, niewielu bowiem autorów poczuwa się do obowiązku nadsyłania nam swoich utworów, a na kupowanie nie mamy funduszy

Wchodziliśmy do „pokoju Mickiewicza”. Z okien roztaczał się przepyszny widok na Rapperswil, rozesłany u stóp zamku, na olbrzymią tafłę jeziora zurychskiego i na okryte wiecznym śniegiem szczyty Alp glerneńskich. Za jeziorem, na przełęczy łańcucha niższych regli, u podnóża góry Hohe Etzel, na tysiąc metrów wyniesionej nad poziom jeziora, widnieją dwie białe budowle, małe z oddalenia. Jest to kościołek św. Meinrada, a obok budynek piętrowy; w tym domuprzebywał w r. 1845 „mistrz” Andrzej Towiański i tam pisał dla braci nauki, datując je „z góry Ezel”. W odległości kilkunastu kilometrów od Rapperswilu, po drugiej stronie Etzela znajduje się miasteczko Einsiedeln (po francusku Notre-Dame-des-Ermites), miejsce tłumnych pielgrzymek do cudownego obrazu Najświętszej Panny, i z tego powodu zwane przez Polaków „Częstochową szwajcarską”.

Nazajutrz wczesnym rankiem byłem gotów do pieszej wycieczki na Etzel i do Einsiedeln. Przepiękny wschód słońca złocił śnieżne szczyty gór, po kilkunastodniowych upałach przepowiadano rychłą burzę, tymczasem wierzchołki Alp jaśniały w całej okazałości, wydając się w czystym rozgrzanym powietrzu bliższymi, niżeli są wistocie. Na niebie żadnej chmurki. Od małej stacyjki Schindellegi droga na Etzel wije się łagodnym wzniesieniem pośród aromatycznych lasów i łąk kwiecistych. Obchodząc półkolem stoki pagórków, nie widziałem jeszcze poza nimi całej panoramy górskiej. Zwolna wychylają się potężne skały granitowe, gdziegdzie błysnie oślepiająco białą plamą śniegu jakiś szczyt wynioślejszy. Jestem wreszcie u celu; na niewielkiej płaszczyźnie, jakby na ściętej powierzchni ostrosłupa, wznosi się domostwo o płaskim dachu i wrostłych w zie-



Klasztor Benedyktynów w Einsiedeln.

mię ścianach — typowy *gasthaus* szwajcarski z nieodzownym gramofonem, niemiłosiernie wygrywającym jakiegoś walca, i automatem z czekoladą i pocztówkami.

Nieliczna, lecz dostatecznie krzykliwa garstka turystów hałaśliwie daje wyraz swoim zachwytom, popijając z nietajonym apetytem mleko „prosto od krowy”. Nie zatrzymując się w oberży, obrzucany niezyczliwymi spojrzeciami gospodarza, obieram sobie ustronny punkt obserwacyjny, skąd otwiera się przed cudna panorama gór.

Tu więc, w obliczu tych Alp majestatycznych spisywał swe myśli „mistrz Andrzej”, snuł mgliste „biesiady” sam na sam z przyrodą i z natchnień swych nieodgadnionych



Cudowny obraz N. M. P. w Einsiedeln.

wykrzes a chciał światło nowej wiary; przychodził z Litwy dalekiej, niosąc mistyczną naukę o poślannictwie ludów i Polsce Chrystusowej, a przyjęcie jego miało się wrazić niezatartym śladem w proroce wizji wiejsza, co uczuł w tym

człowieku „wielkość”. Czem był istotnie, czem była ta wiara tajemnicza — rozdarcie dusz, przepojonych tragizmem niedoli, czyli też objawienia błyskiem potężnym?...

Mgła jęła zwolna spowijać szczyty. Upał wzrastał koło południa. Zanosilo się coraz bardziej na burzę. Szybko zacząłem schodzić w dół ku Einsiedeln.

Po drodze minąłem wioskę Maria-Einsiedeln, w której, jak głosi tablica, umieszczona na jednym z domów, miał się urodzić w r. 1493 jeden z najosobliwszych lekarzy i znachorów XVI-go stulecia — *Philippus Augustus Theophrastus de Hohenheim*, czyli głośny i w Polsce ze swej sztuki alchemicznej *Paracelsus Bombastus*.

z ceną biblioteką, zawierającą między innymi słicznie iluminowane rękopisy z VIII i IX stulecia.

Pielgrzym polski, kłoniąc głowę przed świętym wizerunkiem, myśl swą przenosi utęsknioną do wrót Jasnogórskich i Tej, co „w Ostrej świeci Bramie”. Tu jakoś obco, nieswojo, smętnie...

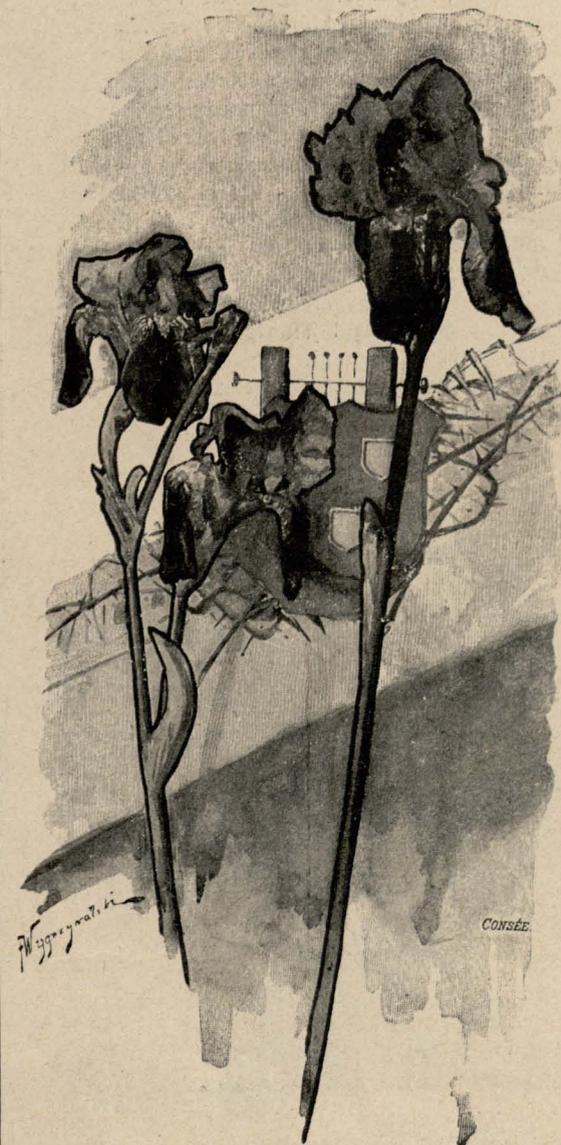
Wracałem do Rapperswilu nad wieczorem. Na groźnym i ponurem tle brzemiennych burzą chmur rysowała się prawie czarna sylwetka wieży zamkowej. Stawało się coraz duszniej. W oddali ryknął grom i, rozbity na tysiące dźwięków, szedł przeciągłem echem po jeziorze. Po nim drugi, trzeci, dziesiąty. Nawalnica już się zbliżała.

HENRYK MOŚCICKI.

## Wojna a pokój.

Feldmarszałek Moltke twierdził, że wojna „jest rzeczą świętą, piękną i wielką”, a to dlatego, że nie pozwala ludzkości utonąć w bezdusznym, grubym materyalizmie, ale dźwiga ją ku ideałom bohaterskiego poświęcenia i bezgranicznej miłości ojczyzny.

Dzisiaj — nawet w kołach wojskowych nikt tak nie sądzi. Co najwyżej młodzi oficerowie, żądni szybkiej kariery i przyspieszonych awansów, wdychają do niej... przy kieliszku, jako do wybawicieli od długów. W gruncie rzeczy jednak i oni są przeciwnikami wojny, uważając ją narówni z całą cywilizowaną ludzkością za największą klęskę, jaka spaść może na dwa narody, rozstrzygające wzajemny spór przy pomocy oręża. Klęski tej nie okupią nigdy momenty największego nawet bohaterstwa i poświęcenia, na które wskazywał Moltke. Zresztą, wiemy wszyscy, że miłość ojczyzny



może tworzyć ludzi wielkich nie tylko na polu bitwy, wśród huków armat i trzeszczenia karabinów, ale i przy cichej, wyteżonej pracy podczas pokoju.

Niema więc wojna zwolenników i zdecydowanych obrońców wśród ludzi współczesnych. Przeciw masowym rzeziom, jakie muszą jej towarzyszyć, przeciw zabijaniu w „udoskonalony sposób” dziesiątków i setek tysięcy ludzi niewinnych, oderwanych od pług i warsztatu, od własnego domu i rodziny, spędzonych na jedno miejsce i traktowanych, jako *Kanonenfutter*, przez generałów głównodowodzących, — przeciw wszystkim okropnościom wojny zwraca się sumienie nasze z protestem i woła głośno: nie!

A jednak, pomimo to, żyjemy nieustannie pod grozą wojny. Co pewien czas zbierają się nad Europą chmury, budzące niepokój powszechny, oddawna bowiem utrwaliło się i panuje to przekonanie, że wielka wojna ogólnoeuropejska jest nieunikniona, że, wbrew wszelkim tendencjom polityki szczerze lub obłudnie pokojowej, spory międzynarodowe nie dadzą się rozstrzygnąć na drodze pokojowej.

Chwilę takiego podniecenia przeżywamy obecnie. Kruche i wątłe podstawy pokoju, utrzymanego olbrzymim kosztem nieustannego „pogotowia zbrojnego”, wyniszczającego zasoby materialne wszystkich państw, tamującego postęp cywilizacyjny i rozwój ekonomiczny wszystkich ludów, wyszły odrazu na jaw przy pierwszym zastrzeniu się austriacko-serbskiego zatargu. Dla najmniej uświadomionego w machinacjach politycznych człowieka stało się widomym i jasnym, że od jednego węgla, pod który niebacznie położony zostanie ogień, może zapłonąć cała Europa i że pożar, który wówczas wybuchnie, niełatwo będzie do ugazzenia.

Taki jest stan rzeczy, bez względu na to, czy dni najbliższe podadzą nam krwawą wieść wojny, czy różdżkę oliwną pokoju. Ten ostatni nie będzie trwałym i nie może być trwałym, dopóki przeciwności narodowe, społeczne i ekonomiczne, zarysowujące się dzisiaj w życiu wewnętrznym każdego państwa i nadające zarazem charakter jego polityce zewnętrznej, nie zostaną usunięte.

To też wszelkie ligi pokojowe, wszelkie konferencje, mające na widoku rozbrojenie powszechne i walkę z militarystką, powinny kłaść główny nacisk na te postulaty sprawiedliwości i prawdy, od których urzeczywistnienia zależy istotny i rzeczywisty postęp świata, walczącego o lepsze swoje jutro. Inaczej najpiękniejsze i najwznioślejsze frazesy o pokoju, prędzej czy później, zagłuszy ryk pękających bomb i szrapneli.

Z. D.

## WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

Popis uczniów szkoły aplikacyjnej dramatycznej. — *Komedia Franciszka Zabłockiego „Sarmatyzm” przed obliczem potomności.* — *De mortuis nil nisi bene.* — *Na co winna kłaść główny nacisk pedagogika w szkole aplikacyjnej dramatycznej.* — *Premiera sztuki W. Grubińskiego „Pijani”.* — *Gościnne występy trupy francuskiej w Warszawie.* — *Charakter francuskiej interpretacji scenicznej.*

W niedzielę bieżącego tygodnia, w popołudniowej porze, w Teatrze Letnim szkoła aplikacyjna przy teatrze dramatycznym wystąpiła z ponownym popisem. Grano „Sarmatyzm” Zabłockiego.

Przed podniesieniem kurtyny p. Ignacy Chrzanowski, który rychło ma w uniwersytecie jagiellońskim zająć katedrę literatury polskiej po Stanisławie Tarnowskim, wypowiedział dydaktyczno-krytyczną *conference* o Zabłockim, podnosząc wysoko jego śmiałą satyrę obyczajową, wkraczając pośrednio w dziedzinę polityki. Najdokładniejsze, lecz i najskuteczniejsze cięcia satyryczne zadał Zabłocki drobnej szlachcie ówczesnej, jej przywarom, trzęsącym krajem, właśnie w „Sarmatyzmie”. Cudze pomysły, cudzą nawet technikę sceniczną zaprawił Zabłocki charak-



Scena z „Sarmatyzmu” Fr Zabłockiego. Popis Szkoły Aplikacyjnej Dramatycznej.

terystycznymi rysami obyczajowości polskiej; komedye jego: „Fircyk w zalotach”, „Sarmatyzm”, innych wiele z liczby sześćdziesięciu, które napisał, noszą na sobie—w przeciwieństwie do ogólnoludzkiego charakteru satyr np. Krasickiego i Naruszewicza—mocne, specyficzne piętno polskości.

Ta właśnie cecha—zdaniem p. Chrzanowskiego—daje im wyższą rangę w literaturze naszej. Nie pisalibyśmy się na tego rodzaju postawienie kwestyi, upatrując właśnie wyższość utworu literackiego w sięganiu dalej, niż czysto narodowe sprawy. „Faust” przecie nie stoi—niemieckością swoją.

Mniejsza. Dość, że z ust wysoce kompetentnych usłyszeliśmy zdanie, że „Sarmatyzm” jest najwybitniejszą komedią naszą—przed Fredrą.

I oto ujrzeliśmy ją, w interpretacji, aczkolwiek szkolnej jeszcze, lecz dającej wystarczające pojęcie o wartości sztuki.

Ani słowa, jest to jawny pierwowzór „Zemsty za mur graniczny”, powstały—jak również widać najwyraźniej—z motywów, czerpanych zewsząd, z całego niemal ówczesnego wszechświatowego repertuaru komedycznego: fabuła, sceny pojedyncze, zwroty dialogu, postacie niektóre... Dobra połowa stosunków i obyczajów, wypełniających „Sarmatyzm”, całkiem nie należy do Polski XVIII wieku. Nie wiele tedy stosunkowo w arcydziele Zabłockiego satyry, trafiającej w sedno, stanowiącej najcenniejszą stronę sztuki. Jeżeli zatem to ma być najwybitniejsza komedia nasza do czasów aż Fredry, przyznać wypadnie, że ta mozajka naiwna i dość pogmatwana, o bogactwie literatury naszej—w porównaniu z piśmiennictwem dramatycznym innych narodów—nie świadczy wcale. Trzeba się z tem pogodzić. Rzeczą w „Sarmatyzmie” rzeczywiście cenną, stanowiącą piękną dorobek piśmiennictwa naszego, jest—język literacki, wiersz o niepowszednich zaletach. To najprzedniejszy tytuł Zabłockiego do nieśmiertelnego imienia w dziejach piśmiennictwa naszego.

Wystawienie „Sarmatyzmu” było ciekawym i pouczającym pokazem retrospektywnym, za który szczerze wdzięczni być możemy kierownikowi szkoły aplikacyjnej, p. Kazimierzowi Zalewskiemu.

Trzebaż jednak, że wiersz sztuki, istotnie aż zdumiewający wyrobieniem swoim, wyrazistością, giętkością, subtelnymi nieraz odcieniami, musiał oczywiście w interpretacji uczniów szkoły aplikacyjnej najbardziej szwankować. Z dykcją pp. artystów i artystek *in spe* jeszcze słabo sły-chać. Pogubiono, pozacierano wiele a wiele; wiele czego nie dobyto wcale. Wszystkie wysiłki i starania oddano—grze, traktując wymawianie po macoszemu. A stosunek—zwłaszcza w systemie szkolnym—powinien być wręcz odwrotny. W dodatku łamano bezceremonialnie rytmikę wiersza, lub jakby roz-

myślnie zlewano go w ciąg jeden, starając się upodobnić wiersz do potocznej prozy. Chętnie godząc się na niewyrobienie jeszcze w ruchach, pozach, mimice, pozwalamy sobie położyć silny nacisk na zaznaczoną wyżej lukę, upatrując w niej objaw za mało pod tym względem energicznej pedagogiki.

Wyraźniejszych talentów aktorskich popis niedzielny nie zaprezentował nam wiele. Wy-

różnić wypadnie pp. Adę Ostoję (Agatka), Zbuckiego (Walenty) i Bretscha (Burzywoj). P. Wacław Grubiński, młodzieniec, debiutujący dopiero w literaturze, autor wydanego niedawno zbioru nowel i szkiców beletrystycznych, wykazujących rzetelny talent pisarski, zapragnął też popisać się utworem dramatycznym.

Próba wypadła wcale pochlebnie dla autora „Pijanych”, sztuki czteroaktowej, wystawionej w Rozmaitościach, gdyż, pomimo ochłostań jej przez krytykę, pomimo, że wiele zamierzonych efektów zawiodło, dowód pozostał dowodem, że p. Grubiński liczyć może — w przyszłości — na niejednego sukces sceniczny.

Tymczasem otrzymaliśmy tylko sztukę, rojącą się od śmiałych problemów życiowo-psychologicznych, albo zgoła nie porozwiązywanych, albo pozapędzanych w koki róg przez najprostszy w świecie przypadek, traf. P. Grubiński bowiem uwziął się identyfikować najbanalniejszą przypadkowość z arcy-motywek starożytnej dramaturgii, z *fatum* lub *ananke*. W dodatku usiłował wytłumaczyć nam, że wszelkie głębokie i oszałamiające efekty, pod wpływem których wyprawiamy nieraz w życiu albo czyny bohaterskie, albo... brewerye, to — upicie się temi lub owemi ideami. Nic więcej. Stan—nietrzeźwy, niepoczytalny. Gdy wytrzeźwienie nastąpi, stajemy się ludźmi normalnymi.

Dla przykładu: oto sytuacja życiowa najzupełniej analogiczna z tą, na której osnuł Przybyszewski dramat swój „Złote Runo”. Kochanek żony najlepszego męża powiada mu: „Oddaj mi ją, dobrowolnie, a potem śmierć sobie zadaj, jeśli zbyt krwawo bolejesz, albowiem jeden z nas ustąpić musi z absolutną lojalnością”. Zaś do kochanki swej powiada, rozumie się: „Pójdź za mną!”

U Przybyszewskiego mąż strzela sobie w łeb; domniemani kochankowie wiodą dotąd żywot idy-

liczny, jeżeli się nie rozeszli, natknawszy się samymi z kolei na sytuację ze „Złotego Runa”. P. Grubiński natomiast rozwiązuje problemat męża zgodnie z nie pamiętam już czyjem aforystycznym orzeczeniem: „*La plainte est pour le fât, la lutte pour le sot, l'honnête homme trompé s'en va et ne dit mot*”. Owóż p. Edward Skorowski usuwa się, nie mówiąc nic, przygnębiony, lecz dając słowo, że życia siebie nie pozbawi. Zaś bohater-kochanek, p. Władysław, skoro afekt szalony dla p. Jądwi wykurzył mu się z czupryny... przepraszam—z serca, odzyskuje trzeźwość poglądów i równowagę i zabiera się spokojnie opuścić ją na zawsze. W tym momencie wchodzi w grę traf. Niepoczytalny brat rodzony trupem go kładzie.

Nie koniec na tem. Cała fatalna przygoda miała ugodzić w p. Władysława dlatego, że jego matka była ongi kochanką niejakiego Kwiecińskiego... nie kochając go wcale, a tylko widząc w tem korzyść materialną. Owóż (nieco inną drogą, niż u Przybyszewskiego) wina matki mści się na synu! Jako *Deus ex machina*, występuje w sztuce p. Grubińskiego... Mściwy Traf! Więc z wiktuałów i ingrediencji „Złotego Runa” sporządzona potrawa—inna? Powiedzmy „Złote Runo” à la Grubiński? Najniechybniej. Z przymieszką mglistych, a niezmiernie pewnych siebie, pozujących na „szaloną śmiałość” egzageracji młodzieńczych, zgodnych z duchem czasu rozdziwacznej naszej najmłodszej literatury. Publiczność, spostrzegłszy nareszcie, że i sam autor, nagromadziwszy sporo okropieństw, całej tej sarabandy zdaje się nie brać na seryo i stoi jakby *poza* utworem własnym, ironizując go lekko, zdecydowała się uważać „Pijanych” za jedną, wielką mistyfikację, przyjmując też sztukę *avec la meilleure grâce* t. j. wyraźnymi objawami doskonałego humoru. Rzadko kiedy... dramat doznał tak paradoksalnego przyjęcia.

Jak się rzekło jednak, otrzymaliśmy dowód, że p. Grubiński pisać dla sceny potrafi, że posiada nerw i sprawność pisarza dramatycznego, czyli warunki i przymioty kardynalne. Wolno spodziewać się, że będzie pisał dla sceny *dobrze*, może nawet z czasem doskonale.

Pozostaje w zawieszeniu kwestya: *co* pisać będzie. A no, czekajmy. Zobaczymy.

Grupa artystów francuskiego Małego *Théâtre Michel* w Petersburgu dała tu u nas (w Teatrze Letnim) kilka przedstawień w zakresie lekkiej komedyi i farsy. Siły to bynajmniej nie pierwszorzędne w rozumieniu międzynarodowym, ale przyniosły naukę poglądową dla artystów naszych. Werwę i ekspresję, pomysłowość i wniknięcie w rolę widzimy dość często na scenie naszej. Francuzi pokazali nam: żywą, jednolitą, ogromnie swobodną *naturalność* (by nie powiedzieć: realizm) gry, zacierającą zgoła różnicę między sceną a życiem. Pokazali nam: mistrzowsko znaturalizowane nieodzowne konwencjonalizmy interpretacji scenicznej.

Z występów francuskich skorzystała publiczność warszawska niewiele. Ci zaś, którzy bezpośrednio korzyść odnieść mogli, bodaj że przyjęli wizytę Francuzów z nieopatrzoną obojętnością.

Szkoda.

CZESŁAW JANKOWSKI.



P. Przybytko-Potocka w roli bohaterki w „Pijanych” W. Grubińskiego.



„Kaskadore”, operetka amerykańska Lewina, z bieżącego repertuaru Nowości.

Ceniąc indywidualne przekonania naszego szanownego współpracownika i krytyka, zamieszczamy uwagę powyższą, jakkolwiek w wielu punktach nie zgadzamy się na wyrażone przez autora poglądy. (Przyp. red. Tygodnika).



Widok Wisły. Kra idzie!



Wylew Niemna pod Druskienikami w roku 1813.

## Na przednówku.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Hej! żeby tak w garści socha—  
Iść warkoczem skib,  
Orać dla tych, co się kocha,  
Na powszedni chleb—o wiosnie—  
Na powszedni chleb!

Hej! żeby tak wodzić pługiem: „odsieł”,  
„wiśtał”, „kseł”, ponad Wisłą, Narwią, Bugiem, tam,  
gdzie serce rwie i dusza...

Tam, gdzie serce rwie!

Hej! żeby tak ziarna z korzec na tysięczny

Marzy się, marzy, a tymczasem już dziś dochodzą groźne wieści o możliwości wylewów, powodzi... Pod Zawichostem już spiętrzone lody tworzą zatory i w dole Wisły również... Nie daj, Boże! aby się powtórzyła wiosna 1813 r., lub choćby ta z przed paru laty, kiedy to z polecenia *Tygodnika Ilustrowanego* zwiedzałem okolice, dotknięte powodzią, sandomierskie, stopnickie, dolinę skotnicką i koprzywnicką. Ile to krwawicy ludzkiej poszło na marne!

Nie daj Bóg! bo i tak bieda... przednówek, wychodźtwa...

Wychodzi lud z okolic pogranicznych i z wnętrza kraju; kaliskie i płockie strony najbardziej są tą bolączką dotknięte.

Objaw to, bądź co bądź, smutny, zwłaszcza w kraju, gdzie tak często brak rąk do pracy uczuwać się daje, ale, skoro go usunąć nie można, należy wyteżyć siły, aby wychodźtwa uczynić przynajmniej, jeśli tak nazwać można... najkorzystniejszym. Ku temu jedyna droga—poznać, zgłębić przyczyny. Do wielu znanych pozwoleń sobie przytoczyć jedną jeszcze, z ust ziemianina z lubelskiego zasłyszaną.

Z dwóch kategorii wychodźtwa—objaśniał mój znawca—wychodźtwa zarobkowe, doraźnie boleśniejsze, mniej jednak w gruncie rzeczy przynosi szkody, niż emigracja zamorska. Sam miałem sposobność skonstatować, jak wielu „obieźsasów” z zarobkowego

strony, jak okolice Praszki (w Piotrkowskim), Kielc, Stopnicy, gdzie rok rocznie lud roboczy idzie na bandosy. Są strony, jak nasze kaliskie, na brak rąk do pracy niedomagające. Nic łatwiejszego, jak stamtąd robotnika ściągnąć. Potrzeba jednak, aby ktoś *osobiście* tem się zajął, sam we właściwej porze przyjechał, kontrakt zawarł.

Co do przyczyn wychodźtwa, zauważyłem jedną, dotychczas w prasie nie ujawnioną: brak miejsca (placu) do budowy chat. Chłop tradycyjnym zwyczajem lubi się budować w kupie, gdy we wsi nie ma odpowiedniego miejsca na budowę chaty, budować się na ograniczy nie chce. Zresztą pociąga to już większe koszty, jak bicie studni. Otóż, według mego spostrzeżenia, znaczny kontyngens wychodźców stanowią ci, którzy, posiadając szmatak ziemi, nie posiadają własnych chałup. I chciałbym być dobrym prorokiem, wierzę, że uregulowanie serwitutów i komasacya wpłynęnie bardzo dodatnio na zmniejszenie emigracyi. Komasacya da możność tworzenia się samodzielnych kolonii włościańskich, a serwituty przysporzą włościanstwu tysiące morgów ziemi.

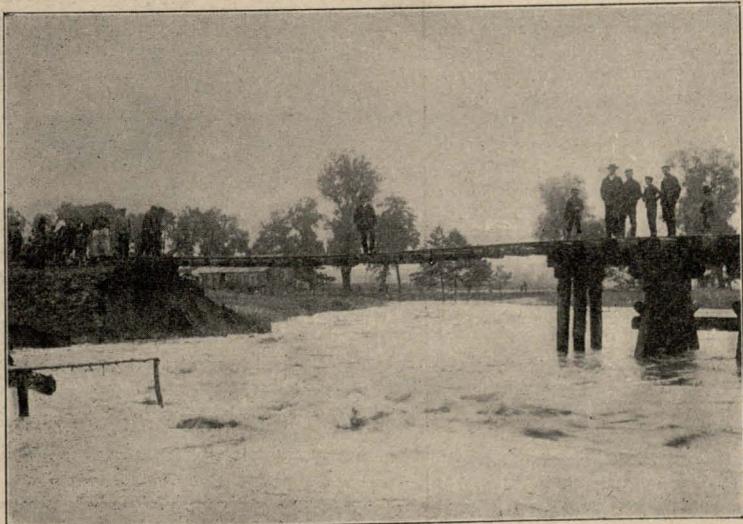
Gdyż zapominać nie należy, że marzeniem polskiego chłopca jest bądź co bądź własny zagon, i o tem, aby go się dorobić, idąc na obczyznę, w większości marzy.

Ziemia, tak ziemia! swój zagon! marzenie!

O tym zagonie, o tem marzeniu na ostatek słów parę. Jest w Galicyi śpiewak-poeta siermiężny, Kuraś. Śpiewa braci swej lata już i marzy o ziemi, o zagonie, bezrolnym będąc. Obecnie zawiązał się pod przewodnictwem hr. St. Tarnowskiego komitet dla zebrania funduszków na kupno zagrody dla poety chłopca! „Trzeba mu dać, nie żałować”—jak mówi pieśń ludowa. Trzeba mu dać na stare lata szczęście marzone. Toć wszyscy wiemy, jak to dobrze na „swojem”, a jak źle, gdy się tęskni za czemś.

Oj, źle!

K. LASKOWSKI.



Powódź. Przerwana grobla.

plon! niechby rosło, jak porzecz, jak radosny dzwon—szumięło...

Jak radosny dzwon!

Hej! żeby tak cztery siwe,  
Bicz konopny... hej!  
Huknąć! jechać w dni szczęśliwe  
O wiosence tej—złocistej!  
O wiosence tej!

Marzy się, marzy, a tymczasem „po długiej i ciężkiej zimie” zaledwie że schodzi „mokra wiosna”, jak po „owym roku”, kiedy to nawet opancerzony wysokimi brzegami Niemen wylał, kiedy: „Nawet małe strumyki wystąpiły z brzegów. Od częstych deszczów, nagle spływających śniegów, Zatapiając pobrzeżne, pola, role, łąki...

Tak że pierwsze wiszące w powietrzu skowronki Próżno poszukiwały stron dawniej im znanych—Kwiląc ponad grzbietami zagonów zalanych, Gdyż niejedna, dotychczas sucha okolica Była, jako od bólu wezbrana źrenica, Co po stracie nadziei łzami tylko płynie, Łzami myśli, łzami świeci o szarej godzinie We łzach ma swe wspomnienia, we łzach swe modlitwy...

grosza nabywa ziemię lub spleca wierzytelności, ich posiadłości obciążające. Oczywiście, skierowanie polskiego robotnika do Danii, Francji, a nawet, jak to już próbowano, do Szwajcaryi, z ominięciem Prus, byłoby ze wszech miar pożądane. Chcąc tego dokonać, należy jednak zorganizować uczciwe *agencje wychodźtwa* zarobkowego w kraju. Wziąć pośrednictwo w swe ręce nie powierzając tej sprawy, jak dotychczas, agentom jawnym i tajnym z zagranicy.

To jedna strona medalu. Druga, bodaj pilniejsza jeszcze, organizacja biur pośrednictwa dla dostarczania robotnika wewnątrz kraju. Są



W końcu lutego w Petersburgu odbył się popis druhów, druchen dorodnych i dzieci, należących do Sokoła. Przy dźwiękach marsza sokolów odbyła się musztra, potem interesujące ćwiczenia, a wreszcie zdjęta została wspólna grupa, którą podajemy. Osoby, oznaczone liczbami od strony lewej do prawej, są to pp. Huttowski, prezes Sokoła, Ziemański, naczelnik, Biegański, zastępca naczelnika, i Barenwic, wiceprezes. Pomimo trudnych warunków miejscowych, Sokół polski w Petersburgu rozwija się bardzo pomyślnie.

## WYSTAWA PRZEMYSŁOWO-SPOŻYWCZA W WARSZAWIE.



Zakład św. Kingi, który kształci nam zastępy dobrych służących i kucharek, popisuje się swoimi doskonałymi wyrobami.



Zrzeszenie ziemian-mleczarzy wystawia przetwory i przyrządy mleczarskie.

## PRZEGLĄD PRASY.

Ruch kobiecy uzewnętrznia się w kilku pismach. Miesięcznik *Ster* reprezentuje tu kierunek radykalny. Ostatni zeszyt przynosi nam artykuł zasadniczy redaktorki, p. J. Bojanowskiej, p. t. „Samorząd a kobiety”. Dalej panna Stefania Bojarska, niewiasta, która wie wszystko, czego my „nie wiemy o naszych córkach”, matkach i innych członkach rodzin, proponuje zjazd młodzieży żeńskiej w Warszawie.

„Zjazd ten powinien przedstawić społeczeństwu zbiorową duszę współczesnej dziewczyny, dać poznać jej poglądy na życie, siebie i środowisko rodzinne, stosunki szkolne i uniwersyteckie; ujawnić, co nam dolega, co nas kępije przestarzałym kodeksem „nie wypada”, wykazać, ile przeżytków, ile balastu niepotrzebnego, ile śmieszności, ile niezręczności ukrytych, demoralizujących czynników ma do zwalczania, do przełamania każda młoda jednostka kobieca u nas, jeśli sobie powie: „chcę żyć, jak człowiek”, „chcę być sobą, nie godzę się na los manekina, który ma być jedynie materiałem, służącym na przynętę dla złowienia „dobrej partii”, albo, w razie niedostatecznych po temu warunków, bierną użytecznością, potulnym popychadłem.”

Dość trudno mówić tu o sprawie, którą porusza wstydliwie ukryta pod inicjałami p. K. B. Spróbujmy ją omó-

wić. Jest to rodzaj odnowienia scholastycznej dyskusji, co było wprawdzie, kura, czy jajko i które z nich było temu winne. Poza tem mężczyźni przedstawieni są, jako oczekujący, niby manny, surowicy, która pozwoliłaby im uprawiać bezkarnie rozpustę, oczywiście samym, skoro kobiety niczemu są niewinne.

Pani Bujwidowa broni pani Borowskiej. Kobieta, oczywiście, musi być zawsze i wszystkiemu niewinna.

Wreszcie do kanonu „postępowego” należy lekkie, uboczne kopnięcie Sienkiewicza. Znajdujemy je więc i tutaj, dokonane niezbyt eleganckim bucikiem. Oczywiście, z powodu jego typów kobiecych.

Treść—jak widzimy—żywa i zajmująca.

Bardzo umiejętnie i starannie redagowany *Bluszcz* robi wrażenie salonu, w którym spotykają się przedstawicielki różnych poglądów. Ozdobą—jest powieść Elizy Orzeszkowej, „He-kuba”. Dobrym pomysłem jest dział „głosów czytelniczek”. Toczy się tu żywa polemika o wychowaniu młodzieży. Po przedstawicielce szanownej starszego pokolenia, p. Wołowskiej-

Prażmowskiej, zabiera głos w ostatnim numerze p. Natalia Jastrzębska.

„Dusz dzieci, młodzieży—mówi p. Jastrzębska—nie potrafili rodzice dzisiejsi pielęgnować, rozwijać, siać w nich ziarn, które za kwitnąć mogły w bujne i piękne zasady społeczne. Nie. Może to nie ich wina, może to zrobiły warunki fatalne ostatnich lat czterdziestu, ale fakt jest faktem i na nic się nie zda go ukrywać. Nie przemilczać i tać, ale wyświełać, nie w sprzeczkach rodzinnych, lecz w dyskusji społecznej, mówić o tych sprawach należy, wyjaśnić je zasadniczo, spokojnie, sprawiedliwie... Takie szczerze postawienie sprawy znacznie złagodzi wzajemne urazy i nieporozumienia, a z drugiej strony, co najważniejsze, ustrzeże przed błędami tych młodych, którzy jeszcze nie ukończyli lub dopiero zaczęli trudną pracę wychowania.”



WOJCIECH DZIEDUSZYCKI  
Prezes Koła polskiego w Wiedniu.  
Zmarł w dniu 22 b. m.

## Pokłosie wydawnicze.

*H. Scipio* Karylla, czyli miłość patriotyczna, obraz sceniczny w 3 aktach i 4 odsłonach, w Krakowie.

Akcja niniejszego utworu rozgrywa się częścią w Paryżu, częścią w Wilnie, w roku 1829. Tło—sprawa promieniistów i filaretów, której zresztą dość dalekie echa dochodzą na scenę. Główna treść—proces duchowy, dokonywany się w duszy bohatera, Artura Mornickiego, który, pod wpływem niedoli młodzieży litewskiej, przeobraża się z lekkomyślnego lowelasa i marnotrawcy, jakim był w kole złotej młodzieży polskiej, pędzącej życie bezmyślnie i hulaszce w stolicy nadsekwaniskiej, w kochającego syna ojczyzny i niewinną ofiarę. Obraz dramatyczny ożywia szlachetny duch patriotyzmu, wyższych wszakże zalet literackich i artystycznych „Karylla” nie posiada. Czytelnik dojdzie z rozsprzedaży książki przeznaczony jest na dochód Towarzystwa szkoły ludowej w Galicji.

## ZMARLI.

LUCYAN MORACZEWSKI, znany powszechnie, wielce szanowany i niezmiernie popularny na Litwie i Rusi antykwarysta, zmarł w Wilnie w wieku sędziwym, liczył bowiem lat 87. Rodem z Mníchowszczyzny, był synem ostatniego podkomorzego litewskiego i oficera ułanów litewskich z r. 1812. Ś. p. Lucyan uczestniczył w rewolucji węgierskiej 1848 roku i w bitwie pod Debreczynem utracił lewą rękę. Spokrewniony był z wybitniejszymi w dziejach kultury polskiej na Litwie rodzinami, Kraszewskimi, Zanami, Szyszkami,



Summorokami i t. d. Od lat blisko sześćdziesięciu zajmował się numizmatyką, medalo- i monetoznictwem. W dziedzinie numizmatyki litewskiej odkrył nieznanne dotąd typy monet srebrnych, denarów z przed Unii. W ciągu dziesiątków lat nabywał, zamieniał, uczył, rozbudzał zamiłowanie do rzeczy ojczystych, przytem był w tranzakcjach łatwy, uczynny, gościnnie i ogólną cieszył się sympatją. To też żal szczerzy towarzyszył prze-

niesieniu zwłok jego na piękną Roś wileńską, gdzie znalazł odpoczynek wieczny.

MIKOŁAJ OTTON KRUKOWSKI, ur. w gub. mińskiej w r. 1836, poświęcał się studiom przyrod-



niczym, gdy wypadki 1863 r. wytrąciły go ze zwykłej życia kolei. Po ośmioletnim pobycie na Syberii powrócił do Warszawy, gdzie pożytecznie pracował na polu pedagogicznym, a równocześnie był urzędnikiem kolei lw.-Dąbrowskiej, ciesząc się niezmienną życzliwością uczniów i towarzyszy pracy.

## NEKROLOGIA.

STEFAN GNIAZDOWSKI.

Dnia 5 lutego 1909 r. zmarł w majątku swym Świdziebnia gub. płockiej Stefan Gniazdowski,



obywatel ziemski, w wieku lat 68. Jako student ówczesnej politechniki w Puławach, brał czynny udział w powstaniu styczniowym 63-go roku. Skazany na ciężkie roboty, wrócił z Syberii do kraju po 17-tu latach wygnania. Obowiązki obywatela, męża i ojca wiernie wypełniał, a zacy charakter i prawdziwie staropolska gościnność jednały mu sympatję i szacunek sąsiadów, oraz okolicznych włościan i służby. Niech mu lekka będzie ziemia, w której obronie tyle wycierpiał.

Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wnie-sienie opłaty na kwartał drugi roku bieżącego.

## REKLAMY

MEBLE STYLOWE Maksymilian KALMUS  
Marszałkowska 141, Tel. 28-87. Firma egz. od r. 1884.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.  
„ENGLISH CLOTHING HOUSE.”

SKŁADY do przechowania mebli SYRENA  
Kraków.-Przedm. 38

ZDROWIE niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne. Opisane w nowym dziele WINCENTEGO LUTOSŁAWSKIEGO p. t. „ROZWÓJ POTĘGI WOLI”, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena w oprawie rub. 1.20.

KSIEGARNIA Fr. RACZKOWSKIEGO  
LUBLIN, KRAKOWSKA-PRZEDMIEŚCIE 36,  
przeszła na własność  
GEBETHNERA i WOLFFA.

## NA WODZIE I POD ZIEMIĄ.

### PRZEŻYTKI.

„Dokądże dojdą wymysły i znieprawienie współczesnych? Nie dość im stawiać wille swoje na pobrzeżu, aby je przewiewał świeży wietrzyk morski, na samem morzu wznoszą swoje dumne pałace!”—tak wołał jeden z moralistów epoki upadku Rzymu, widząc modę, wprowadzaną przez najbogatszych współobywateli swoich, budowania domów na wodach, uważając ją za najwyższe wyrafinowanie zbytku, poszukującego niepospolitych wzruszeń.

Tak prowincjonalista z zapadłego kąta, siedząc dziś nad filiżanką kawy na tarasie kasyna w Nicei, może rzucać gromy na obyczaje zepsutej Riwiery, przelotnych ptaków całego świata, szukających zadowoleń w pałacu nawodnym. O czasy! o obyczaje!

To, co za czasów rzymskich i za naszych nawet jest rzadkim wyjątkiem, było niegdyś zwykłym sposobem budowania chat najbiedniejszych, w okresie dzieciństwa ludzkości. Zdaje się, że jednym z pierwszych domów, jakie stawiał sobie człowiek, były zabudowania nawodne.

Pozornie wygląda to na paradoks. Ale wyobraźmy sobie, jakie były niegdyś same warunki życia. Pod cieniem lasów olbrzymich paproci, albo na pustyniach lodowych pośród potworów, stworzonych do walk olbrzymich, pokrytych nieprzeniknionymi, twardymi skórami lub futrami, zaopatrzonych w kły niebezpieczne, żyje gromada nieszczęśliwych ludzi, karmiących się korzeniami, szukających przytułku w pniach spróchniałych drzew, w jaskiniach.

Tacy byli nasi przodkowie. Najgroźniejszym wrogiem człowieka był człowiek właśnie. Zaledwie połączone usiłowania kilku rodzin zdołały upolować jedną z tych kolosalnych zdobyczy, które cecho-



Mieszkanie nawodne Papuasów z Nowej Gwinei.

Podziwiać trzeba, ile śmiałości, ile trudu musieli zużyć ci cieśle przedhistoryczni, aby budować chaty na wodzie narzędziami, które składały się z kilku lichy wyostrzonych siekier. Ale konieczność zmuszała ich do tego. Cierpliwi i mocni, ścinałi drzewa olbrzymie, zaostrzali je na jednym z końców, wbijali je w wodę i przykrywali szeregiem belek, suchą trawą pokrytych, dość mocnych, aby wytrzymać ciężar małej, z gałęzi splecionej chaty.

Kiedy po tem dziele tytanów, bezpieczni w swoim szałasie, obok śpiącej żony i dzieci, słyszeli zdaleka pełzanie w ciemnościach i ryk zawiedzionej wściekłości potworów, obecnie już bezsilnych — mamuta gruboskórego o rudej sierści, piętnastu stóp wysokości, z równie długimi kłami, olbrzymiego nosorożca z potężnym rogiem i panczem ze skóry, wielkich drapieżników jaskiniowych, niedźwiedzia, hyeny, lwa, obok których dzisiejsze robią wrażenie szczeniaków—ci skromni pracownicy musieli odczuwać dumę ze swego tryumfu!

Takie było ich życie i otoczenie przed trzema tysiącami lat...

Nad wodą, a więc nad ziemią, mieszkali niegdyś troglodyci, mieszkają dziś najniższe cywilizacyjnie plemiona. Szukali i szukają także ucieczki i we wnętrzu ziemi.

W Tunisie, na progu Gabesu, prawie na granicy Sahary, ciągnie się płaskowzgórze kamieniste, jałowe, spalone promieniami słońca, zamiatane przez simumy, a dostęp do niego tak trudny, że było prawie nieznanne aż do ostatnich lat. Tam mieszka plemię Matamasów, dosłownie *zapobiegliwych*, tak zwanych od nazwiska przedhistorycznego przodka. Mieszkają pod ziemią, w jaskiniach, a stolicy ich, liczącej trzy tysiące mieszkańców, nie widać na powierzchni ziemi.

Zbliża się ciekawy podróżnik i widzi tylko biały meczet, otoczony grobami—jedynymi pomnikami, nad ziemią wzniesionymi. Naraz, pod nogami spostrzega niewielki otwór. Dochodzą stamtąd głosy, słychać szmery ludzi i zwierząt. Obok pusta jaskinia. Suszy się w niej trochę bielizny, a mieszkańcy wyszli na roboty. I tak można spacerować po dachach tego miasta.

*Szeik* wsi prowadzi do swego mieszkania. To najpiękniejsze — trzeba je podziwiać. Studnia pochyła, porządnie wydrążona, prowadzi do wnętrza.

Tam ciemności panują nieprzeniknione. Ale uprzejmy gospodarz skrzeszał ognia ze swego krzemienia i zapalił w kącie wiązkę *alfy*. Widać wysokie sale, mieszczące na prawo obórę, na lewo fabrykę oliwy. Korytarzyk ciemny prowadzi do mieszkania. Przez studnię prostopadłą przenika światło do okrągłego dziedzińca, zwykłego *patio* mieszkań maurytańskich. Naokoło niego sypialnie i pokoje mieszkalne, chłodne w lecie, ciepłe w zimie, bez jakiegokolwiek wilgoci. Nie potrzebują żadnego oparcia, nie zawalą się nigdy, byle budować je w formie ostrych sklepień, lub łuków półkolistych. I tu zresztą, pod ziemią, zachowane są cechy zasadnicze stylu maurytańskiego.

Ziemia jest tu rodzajem gliny, miękka, łatwa do drążenia. Kiedy Matamas potrzebuje nowego mieszkania, wybiera kawał ziemi, zakreśla koło—i ten kawał ziemi do niego już należy. Zaczyna potem drążyć mieszkanie.

W podziemiu *Szeika* snuje się nic życia powszedniego. Stara matka, bezzębna i wyschnięta, przędzie motek lnu. W innym pokoju dwie kobiety tkają dywan—Bóg raczy wiedzieć, jakimi sposobami—w takiej ciemności! Owdzie starzec z dumą pokazuje syna, szyjącego na maszynie do szycia. Był tyralierem w Senegalu i stamtąd przywiózł tę nowość.

Takimi szlakami wkracza cywilizacja nawet do podziemnych mieszkań Matamasów...

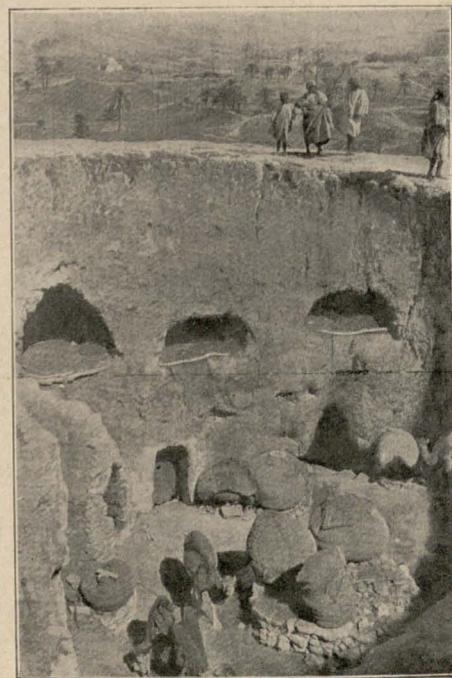


Dom nawodny na jeziorze Teslin w Kanadzie.

wały olbrzymią faunę ówczesną, natychmiast wybuchały o podział groźne walki, równie dzikie, a może dziksze nawet, niż wśród zwierząt, bo i człowiek ten był prawie od zwierzęcia niższy.

Jakże uciec przed napaściami zwierząt i ludzi? Ponieważ ziemia była niegościnna, musiała zrodzić się myśl budowania wśród wód rodzaju twierdz, które mogłyby wytrzymać oblężenie i dostarczać tym, którzy się tam schronili, wody i ryb, jako napoju i pożywienia.

Tak, czy inaczej, jedno jest niewątpliwe, że takie wsie nawodne istniały. Istnienie w jeziorach włoskich i szwajcarskich licznych wbitych w dno pali stwierdza to niezbicie. Badania archeologiczne jednej z najgłośniejszych osad pod Rohenhausen, na jeziorze Zurychskim wykazały, że należy ona do okresu kamienia gładzonego. Inne — w Sabaudyi, w Austrii, w Wirtembergu i w Bawarii, należą do różnych okresów, nawet brązu i żelaza. W niektórych okolicach Azji i Australii dziś jeszcze służą do użytku plemion, należących do ras najniższych.



Wieś podziemna Matamasów.



Kazimierz pierwszym odruchem odskoczył od Krystyny.

KONSTANTY GORSKI

Wskazywał na przetrzebiony od brzegu, ale coraz wspanialszy las. Zdarzały się już jodły olbrzymie i kłody omszałego potału.

— A nie chciałbyś zabić lisa? — zapytał Miś.

— I owszem. Nawet nie zabiłem nigdy lisa przed psami. Z psami polowałem tylko na dziki.

— Trzeba było pocałować przed wyjazdem jakieś damskie kolano na szczęście — dodał Beno.

— Nie przyszło mi to na myśl. A i w piekarni nie byłem.

— Po co w piekarni? w pałacu.

— Jeszcze trudniej.

— Oj je! i mamaby pozwoliła.

Rokszyci spojrzał z ukosa na młodego księcia i zamilkł, ten zaś, może dla zgłuszenia podejrzanego dowcipu, gwiznął przenikliwie.

Jurko, przebiegając różnym krokiem wzdłuż szeregu myśliwych, napominał szepem:

— Pany! pany! do lisich jam podcho-

dzim. Cicho trzeba. Wraz i psy puszcza.

Jakoż wstrzymał pochód i rozwiązał sfory. Ze stłumionym piskiem rzuciły się w las młodsze psy: Lutnia, Śpiewka, Zagraj i Szumlas, harcując niby na popis kręgami około myśliwych. Starsze, Piskla i Organ, ruszyły odrazu w celowych podskokach, z nosami przy ziemi, zatrzymując się co chwila, obwąchując z rozważą rosiste kępy. Poważny łeb Organa wznosił się często i zwracał zasute do połowy oko na Jurka, jakby dla porozumienia z wodzem wyprawy, i zniżał znowu ku murawie swe obwisłe fafle i rozkołysane klapy.

— Kiedy Organ zagra, bie—da! panieńku ty mój—ubolewał Jurko ironicznie nad losem zwierza, na którego trop wpadnie stary i pewny pogromca.

Teraz zaś, puszczając się za psami w las, wołał dla zachęty:

— Poszukaj, szukaj, szukaj! Poszukaj... Hola, tola, tola!...

I sunąc posuwiście po mchu cichymi chodakami, wyprzedzając długim, wietrzającym

nosem resztę swej zgarbionej, lekkiej postaci, rudy cały i płowy, wyglądał sam, jak zaciekły ogar dwunogi, jak lichy leśny, zrodzone na zgubę mniej przebiegłej zwierzyny. Maluczko, a zginął w barwach i powikłaniu puszczy; ogłaszał się tylko swą gardlaną trąbką, coraz dalej.

Matyszkiewicz rozstawiał myśliwych po lesie łamaną linią wśród gąszczu, uprzedzając każdego, aby się zlekka okrzyknął do sąsiadów, dla oznaczenia swego miejsca i uniknięcia możliwego postrzału. Sam Matyszkiewicz poszedł za Lejtanem wycierać knieję, a inni jego towarzysze znikli gdzieś, przyczaili się, wsiąkli w puszczy.

Rokszyci dostał bardzo obiecujące stanowisko na samych lisich norach. Niewielki garb gruntu, porośnięty, jak cała okolica, odznaczał się tylko kilku plamami świeżo poruszonej ziemi i rozdartego mchu, z którego wyzierało pięć czarnych otworów. Kazimierz, myśliwy już wprawny, wybrał sobie miejsce nie przy samych norach, lecz o kilka kroków dalej, mając przed oczyma nory i gdzieś jaśniejsze pasma gąszczu. Dla pogłębienia widoku tu i owdzie obrąbał kordelasem gałęzie, rozświetlając sobie „wizówki”. Pochłonięty cały przez namiętność łowiecką, którą podniecał wspaniały, wysokopienny, odwieczny las, baczył pilnie okiem i uchem, ile mu las dotrzyma obietnic, ile nastroczy niespodzianek. Ale tymczasem było cicho.

Cisza leśna nie ma nic wspólnego z morską lub stepową, gdzie nic się nie dzieje oprócz zmiany oświetleń. Cisza litewskiego lasu jest nieprzejrzanym widowiskiem żywych szczegółów, nieprzesłuchaną orkiestrą szmerów. Wysoki wiatr, kiedy i nie zrywa wierzchołków do śpiewnych pokłonów, mieszka tam zawsze, choćby w drżących koronach brzoź i w strzelistych kitach jodeł. A także ta, która w oczach pędzi od ziemi przemożną bujnością odrośli, na szczytach lekko umiera puszcza: coraz to gałązka, siwym mchem przeżarta, spływa ku ziemi konająca i zawiśnie na niższych konarach; to znowu gruchnie o ziemię szyszka, krąży po powietrzu liść wcześniej zwiędły.

Nieustanne sprawiają szmery mniejsi mieszkańcy rozwieszanej pod błękitami zieleni: plondrują po kuszczach szare ptaszyny, kują dzięcioły na wysokich jodłach, jaskrawe sójki i siwowronki tryskają nagłymi racami w niebie i nikną wśród liści. Płomieniem pociągnie czasem ku sobie oczy śmigająca po mchu wiewiórka, niewinna karykatura lisa.

Ruchome cienie migają przez wierzchołki od płynących cicho wielkich skrzydeł: samotny kruk przelatuje. To znowu ogłasza się w górze przyspieszone furkanie lotu dużego ptaka. Kazimierz chwycił za strzelbę, przyłożył się... nie strzelił.

— Cietrzew... Nie warto płoszyć lisa.

Wkrótce od rozglądania się w zacieśnionym promieniu Kazimierz nabrał poczu-

cia własności tego miejsca. Poznał już twarze i profile fantastyczne gąszczów naokoło; znał wyraz pagórka, wyszczerzonego ku niemu otworami nor lisich; zbadał przyzwyczajenia szarej ptaszyny, powracającej ciągle na jedną gałązkę, aby ćwierknąć i zajrzeć mu w oczy; miał swe wygodne oparcie o gruby pień i miejsce dla stóp, wysłane bogatym, wysoko strzyżonym kobiercem mszystym; wiedział, o jakie krawędzie opiera się władza jego broni i wzroku; poznawał w przewiewie zapach żywicy od jodeł i łąziebny zapach brzeziny i różne, określone już w mózgu wonie krzewin i jagód; żył mnóstwem poczuć świeżych, dzikich, odmładzających, które składały się na jedno rozkoszne uczucie posiadania na własność tego nie tkniętego przez siekierę kąta puszczy. Na tem stanowisku oczekiwał obiecanych mu przez ludzi, zapowiedzianych przez drzenie serdeczne zdarzeń.

Ale psy nie ruszały zwierza, ucichły i nawoływania strzelców, bór tylko prowadził swe szerokie gwary, roziskrzony w barwach, gdyż zaległa na niebie słoneczna pogoda. Godzinę już chyba stał tak Kazimierz, gdy usłyszał zbliżający się szelest... zwierza? nie—to ludzkie kroki. Schodzono, widać, ze stanowisk, aby przenieść się na inne, szczęśliwsze.

Migały przez liście dwie postacie, na przedzie zwyczajna, leśna, a za nią druga ciemna, wysmukła... Zdaje się, że kobieta? Kibić, duży kapelusz z położonym piórem...

— Pani Krystyna!

Kazimierz odepchnął się łopatkami od pnia, o który opierał się niedbale. Wszystkiego się spodziewał w tem czarownym ustroju, tylko nie jej.

Zbliżała się uśmiechnięta prosto ku niemu. Drobna, sucha jej noga stąpała lekko i elastycznie po mchu, jak czarna łapka ładnego ptaka, idącego na piechotę.

Osadziła się tuż przed Kazimierzem i wyciągnęła do niego małą, nadspodziewanie silną dłoń.

— Rokszycki—przedstawił się z głębokim ukłonem.

— Ja tu pozostanę z panem—rzekła Krystyna, dając znak przewodnikowi, aby się oddalił.

Przewodnik, jeden z „ochotników”, natychmiast gdzieś przepadł.

— Pani na polowanie?—zagadnął Kazimierz z niezwykłą nieśmiałością, jakby nie dowierzając oczom.

— Przyszłam choć zobaczyć—Tak lubię mój las!

Mówiła szczerym, ujmującym głosem.

Kazimierz nie znalazł narazie dalszego ciągu rozmowy. Oparł strzelbę z pień i skrzyżował ręce na piersiach.

— To naprawdę mój las; już nie jesteście panowie w Rarogach, ale w puszczy Auszrańskiej, która do mnie należy. Jest pan moim gościem.

— Dziwy tu spotykam po dziwach—zaczął Kazimierz.—Wczoraj taka muzyka, a z nią zjawienie się pani; dzisiaj taki las—i znowu pani...

Zauważył jednak zaraz, że pani Krystyna słuchała zdawkowego entuzjazmu ze zdaw-

kową też uprzejmością; przerwała mu nawet: — Panowie tu przyjechali dla ważnej narady?

— Mój wuj, Apolinary Budzisz. Ja się zajmuję studyowaniem lnu.

— Ach, tak? Myślałam, że, przeciwnie, pan ma większe zamiary społeczne.

— Nie wypieram się ich wcale. Owszem, od czasu, jak tu jestem, ciągle mi ich przybywa.

— Pan to mówi... naprawdę?

Oczy utkwiała w niego tak badawcze, że Kazimierz wyprostował kark, odpowiadając:

— Nie pozwoliłbym sobie w tej materii na żarty.

— Tak mi się też zdawało, gdyśmy wczoraj rozmawiali—przez muzykę. Ale to nie wystarcza.

— Mnie tem bardziej.

Oczy jej nabrały dobrego blasku, i odżyła w nich jakby ufniejsza znajomość. Wczorajsza muza, niezależnie od ubioru i oświetlenia, stała przy Kazimierzem ta sama niezawodnie piękna i harmonijna.

— Skoro pana zajęła Litwa, mogłabym wiele o naszych stosunkach powiedzieć.

— Byłbym bardzo wdzięczny.

— Więc powiem panu; rzecz jest taka...

Zamilkła jednak po tym kategorycznym wstępie; twarz jej mieniła się uśmiechem i namysłem, a lekko drżące nad nią liście głąskały ją po twarzy cieniami.

— Rzecz jest... jaka?—nalegał Kazimierz przychylnie.

Jeszcze milczała. A tymczasem zagadał las.

Jakiś daleki, ledwie dosłyszalny zgiełk pokłócił się z harmonią szmerów. Niepokój rodził się w głębi puszczy, niby zlot krzykliwego ptactwa gdzieś nad jeziorem wewnątrz, niby zbiegowisko ludzkie, oddalone o całe mile. Zgiełk przychodził z powiewem wiatru, zamierał, powracał wyraźniejszy: zbliżał się.

— Ruszyły psy!—zawołał stłumionym głosem Kazimierz, chwytając za strzelbę.

— Tak, tak, ruszyły! Ja to znam—potwierdziła Krystyna.

W oczy jej wstąpiła nagła, promienna radość. Kazimierz rozejrzał się szybko w topografię swego stanowiska, o której na chwilę był zapomniawszy, obliczył możność strzału, tu na wizówce, tam przez gąszcz rozrzedzony. Oboje skamienieli w oczekiwaniu.

Gon, wyraźnie z oka, zbliżał się. W przypływającym chórze rozróżnić było już można rozkwilone dyszkanty młodych suczek, kontraltów starszych, gniewny baryton Zagraja i urywany, grobowy bas Organa, dającego głos tylko na pewnika.

— Może ja się schowam za drzewo?

— To pani nie zobaczy.

— Stanę przed drzewem?

— Jak pani chce.

— Za panem stanę.

Umieściła się rzeczywiście tak, że Kazimierz czuł w krzyżu pacierzowym magnetyczny niepokój, bijący od jej postaci, a około uszu jakby powiew jej oddechu. Sam zaczął się kręcić i zapominać o lisie. Ale nakazał sobie przytomność umysłu i baczność

strzelecką, umocnił obie nogi we mchu i wmawiał w siebie, że jej tam za nim niema.

A granie psów było już pieśnią ciągłą, ułożoną w akord na zasadzie dzikiej jakiejś, ale melodyjnie przejmującej harmonii, jak szum wichru, lub oddech wzburzonego morza. Były w tej pieśni takt i oktawy, były sola i zbiorowe crescendo, a wszystko razem warianty zasadniczego frazesu: gończej zaciekłości za pożądanym łupem. Niezwykłe z psich gardzieli dobywały się głosy: zanosily się serdecznym płaczem Śpiewka i Lutnia, jęczały spazmem łaknącym, męskim Zagraj i Szumlas.

Gon stawał się już wrzawą i tak blizką, że lada chwila spodziewać się było można wychynięcia chytrego pyska lisa, zdążającego rozpaczliwie do nor, przy których stali Kazimierz z Krystyną.

— Idzie, idzie!—ozwała się nagle Krystyna gorącym szeptem.

— Widzę. Cicho—że, na miłość Boską!

— Panie! jabym go zabiła!

Kazimierz pierwszym nerwowym odruchem odskoczył od Krystyny, widząc, że ręka jej posuwa się skurczona i prosi o broń. Ale spojrzawszy na nią, zmienił błyskawicznie zdanie i podał jej strzelbę:

— Proszę.

Tylko że lis już spostrzegł, co się dzieje przy jego norach, i dał kominka pod ostrym kątem w gąszcz. Migał jeszcze rudawą plamą na prawo, coraz dalej.

— Nie strzelać!—rzekł Kazimierz głosem—to już na nic.

(DCN)

STANISŁAW OSTROWSKI

## OSTATNI Z PUŁKU.

2)

Grzelachowski spojrzawszy pod nogi. Odrazu zrozumiał słuszność ostrzeżenia. Oba wybrzeża Elstery były ocembrowane kamieniem w gładki cios, wystający dość wysoko ponad poziom wody. Ta oślizgła i prostopadła niemal kamienna ściana była nie do przebycia dla tego, kto raz wpadł do nurtów Elstery.

Na moment staremu sierżantowi bezsilnie opadły ramiona. Nie przemódz człekowi doli... Snadź przyszła taka zła godzina, godzina ostatecznej zaty, z której już niemasz ratunku dla człowieka, choćby ci on już nieraz wyszedł obronną ręką z pod kul i bagnatów, ze stu bitew krwawych... Zła, ostateczna godzina...

Jednak nie było we zwyczaju sierżanta Grzelachowskiego rozczulać się nad swym losem. Z samego dna czarnej rozpaczki dźwignął go hart niepożyty, moc krzepka i niezłomna, nieodstępna duszy żołnierskiej do ostatecznego tchu... Zebrał się Grzelachowski sam z sobą, silnym ramieniem podźwignął ranego towarzysza. Złem okiem spojrzawszy na wrogą rzekę i gniewnie splunął na jej mętną toń, która niosła na sobie śród burch piany szczątki kół i furgonów, lawety i belki, trupy końskie i ludzkie.

Ciągnąc za sobą swego towarzysza, Grzelachowski zdążył, ile sił, w stronę mostu. Kule świstały im koło uszu. W pewnej chwili



Usiłował pełznąć w górę po ślizkiej powierzchni.

STANISŁAW BAGIEŃSKI

stary sierżant ujrzał przed sobą gromadkę ludzi, kupiących się u brzegu. Serce załomotało mu w piersi. Nie inaczej, jeno musi być przeprawa w tem miejscu. Przybyło mu od razu sił, nadziei, hartu. Przyśpieszył kroku i w kilka chwil dopadł tych ludzi.

Gromadka żołnierzy przeprowała się istotnie w tem miejscu, przy pomocy starej gwardyi francuskiej, stojącej na przeciwnym brzegu. Równocześnie stary sierżant dowiedział się, że most został wysadzony i że, kto tu nie zdoła się przeprowić, dla tego niema ratunku. Przeprowa odbywała się w ten sposób, że z obu stron u samego brzegu były wpuszczone do wody długie belki, jednym końcem leżące na brzegu, drugim zaś oparte o dno rzeki. Przeprowiający spuszczały się po pierwszej belce, zanurzali się w wodę i usiłowali dobrnąć do drugiej belki, opartej o brzeg przeciwny. Wielu z nich ginęło w nurtach, porwani prądem lub zbici pływającymi po powierzchni wody przedmiotami. Kto jednak zdołał dotrzeć do drugiej belki i wpełznąć na nią, temu z przeciwnego brzegu żołnierze francuscy podawali koniec żerdzi i wyciągali na gładki brzeg ciosowy.

Grzelachowski łokciami przepchnął się przez gromadę i stanął u samego brzegu. Okrakiem usiadł na belce, uchwycił się jej krzepko garściami i krzyknął rozkazująco na rannego rekruta:

— Gramol mi się na plecy i uczepl za szyję, a trzymaj się krzepko, kiej nie chcesz utonąć!

Ranny szeroko rozwartemi, przerażonemi oczyma patrzył na wzdętą toń, w której pasowali się z żywiołem zgubnym ci z żołnierzy, którzy zdołali ująć z rzezi. Rozpaczliwie, mdlejącemi ramionami uchwycił za szyję starego kamrata, który szybko po belce zaczął się spuszczać do rzeki. Za moment sierżant, wraz ze swym ciężarem, zanurzył się w wodę po szyję. Czując, że mu dno rzeki ucieka z pod stóp, usiłował płynąć, za wszelką cenę utrzymać się na powierzchni, aby się zbliżyć do belki z brzegu przeciwnego.

Naraz poczuł potężne uderzenie w głowę. Cios pochodził od belki, którą przyniosła chybka fala. Na moment sierżantowi pociemniało w oczach, i zanurzył się z głową w nurt rzeki. Z sercem, stygnącym w piersi, uczył, że idzie na dno. Wówczas ostatnią resztą sił, ostatecznym wysileniem rozpaczy targnął się w wodnej topieli. Wychynął na

powierzchnię i przetarł dłonią oczy, zalane wodą. Dokoła siebie ujrzał nurt spieniony wrogiego żywiołu i blisko, blisko, o kroków dziesięć przed sobą, zbawczą belkę, idącą ku brzegowi. Wówczas, jedną ręką odpychając od siebie zniesione falą przedmioty, które mu groziły zatopieniem, potężnymi razami wolnego ramienia począł sieć przestwór wodny. Po chwili tych zapasów pod dłonią uczył jeden koniec belki. Wówczas obiema rękoma chwycił ją krzepko i, mimo ciężaru, jaki dźwigał na plecach, usiłował pełznąć w górę po ślizkiej powierzchni.

Głośne okrzyki zachęty rzucili mu francuscy żołnierze, stojący na brzegu. Wyciągniono ku niemu żerdź długą. Uchwycił za jej koniec obu garściami i za chwilę uderzył kolanami o twardy cios wysokiego wybrzeża.

W tej samej chwili kurczowo zaciśnięte dokoła jego szyi ramiona rozplotły się, i ranny rekrut osunął się na ziemię bez czucia.

Nieopodal brzegu wznosiło się wzgórze niewielkie, zieleniejące resztkami trawy uwiędłej. Tam złożył Grzelachowski zemdlonego towarzysza i począł go cucić. Z odzieży i włosów sierżanta woda spływała na bladą śmier-

telnie twarz młodego rekruta. Grzelachowski wsparł jego głowę na swych kolanach i, pochyliwszy srogą swą twarz nad rannym, targnął go za ramiona i tonem napół groźnym, napół żalonym przemawiał:

— No, rekrut, ocykaj się! Wraz mi rozwieraj ślepią! Słyszysz, kto ci rozkazuje?... twój sierżant! Krzyknę jenoś przecierpiał, a już cię rozebrało do cna... Baba! niewieściuch! dzieciuch!... Ani to skrwawionemi stopami zeszedłeś, jako my, pół świata, ani skwarzyło cię ogniste słońce pustyni, ani mróz dojął do szpiku kości... Hej! nie zaznałeś ty trudów okrutnych w italskiej ziemi, nie byłeś u Berezyny!... Nie oglądałeś wyżartemi od dymu oczyma straszliwego pobojuwiska Frydlandu, ni pożaru Moskwy! Nie z naszego ty wieku ni pokolenia żołnierza!... Jedną bitwę przeżyłeś, a myśmy odbyli ich sto, a dlatego obnosimy jeszcze stare kości!... Rusz-że się! słyszysz, rekrut?...

Gromki okrzyk stojących u brzegu gwardzystów francuskich zwrócił uwagę sierżanta w inną stronę.

— Vive l' Empereur! — zagrzmiało, jak salwa armatnia. Grzelachowski odwrócił głowę. O kroków kilkanaście od niego, na swej siwej, długonogiej klaczy przebiegał błoniem Napoleon, a za nim waliła błyszcząca od złota świta.

Cesarz na widok grupy z dwóch żołnierzy na wzgórze zatrzymał na moment konia. Rozpoznał snąc barwy mundurów polskich. Krótko zapytał:

— Z jakiego pułku?..

Stary sierżant porwał się na nogi. Wyprężył, jak struna, i, salutując przed cesarzem, wyrecytował:

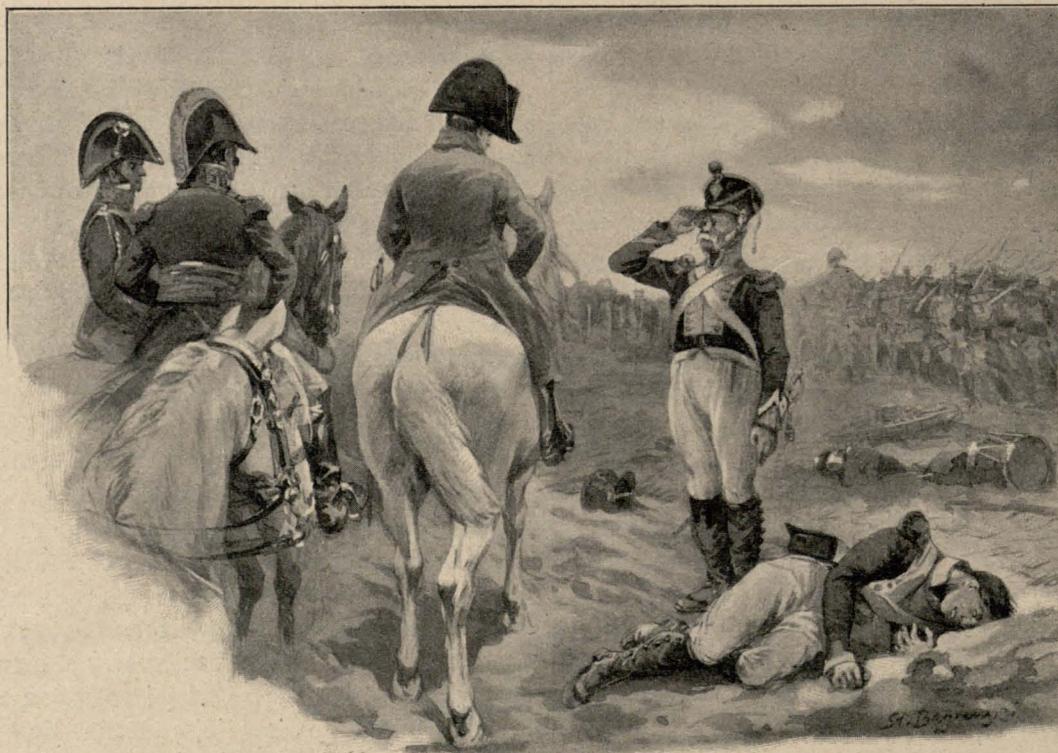
— 2-gi batalion dwunastego pułku piechoty wojsk Księstwa Warszawskiego!

— Polacy, a więc i pułk wasz, macie się zbierać do Erfurtu! — oznajmił Napoleon.

Ruszył konia ostrogą. Wówczas Grzelachowski, jakgdyby chciał ruchem rozpaczliwym zatrzymać cesarza, wyrzucił w górę obydwie ramiona i wykrzyknął głosem, zdławionym przez żalność:

— Najjaśniejszy cesarzu! Otośmy ostatni... niemasz już pułku!..

KONIEC.

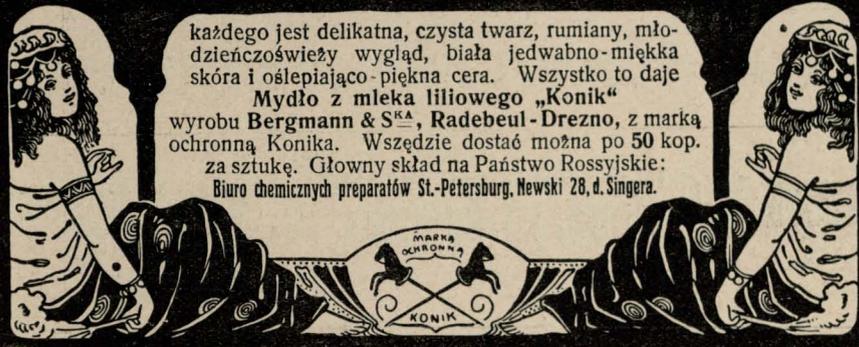


— Otośmy ostatni, niemasz już pułku!..

STANISŁAW BAGIEŃSKI

NADEŚLANE.

# SERDECZNÉM ŻYCZENIEM



każdego jest delikatna, czysta twarz, rumiany, młodzieńczoświeży wygląd, biała jedwabno-miękka skóra i oślepiająco-piękna cera. Wszystko to daje Mydło z mleka liliowego „Konik“ wyrobu Bergmann & S<sup>KA</sup>, Radebeul - Drezno, z marką ochronną Konika. Wszędzie dostać można po 50 kop. za sztukę. Główny skład na Państwo Rossyjskie: Biuro chemicznych preparatów St.-Petersburg, Newski 28, d. Singera.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE  
ORGANY, MELODYKONY  
**GEBETHNER i WOLFF**  
Warszawa, Krak.-Przed. 17



Wyprzedajemy z dawnych zapasów

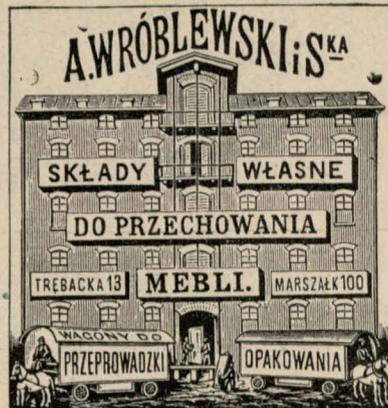
**5,000 gąsiork. wina węg.**

wytrawnego, średniego lub słodkiego po wyjąkowej cenie rub. 1 kop. 20.  
Dostawa 15 gąsiorków franko.

Skład Win i Koniaku

**Braci KEMPNERÓW**

Długa Nr 5. Telefonu Nr 772



**Księgarnie Gebethnera i Wolffa**

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

**ŁUDWIK SZUFA  
KRAWIEC**

KRAKOW TELEFON 671



Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele**  
Browaru  
poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**

**HENRYK MICHAUX  
LEKARZ DENTYSTA**

Warszawa, Foksal Nr 15. Telefon 69-80.

**SAGRADA BARBER**

wzmocnia żołądek  
i łagodnie przeczyszcza

KSIĘGARNIA

**GEBETHNERA i WOLFFA**

w Warszawie

poleca:

**WYBÓR POEZJI**

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe zmienione i powiększone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

ZUPEŁNIE

# DARMO

od dziś — do Świąt,

Czem najlepiej zabawić gości

w Święta i inne dni roku?

Oto nabywając

# Pathéfon.



Pathéfon bowiem oddaje **śpiew i deklamację czysto, głośno i absolutnie naturalnie**, tak, że odróżnić niepodobna, czy śpiewa artysta, czy aparat, a muzyka wychodzi tak głośno, że w kilkanaście par tańczyć można. Do tańca wogóle nadają się **tylko Pathéfony**, bo one jedyne pozwalają grać

**bez przerwy** — bo grają **bez igieł** i dlatego **bez szumu.**

Pragnąc dotrzeć do ostatniego zakątka kraju, pragnąc ostatecznie wyrugować gramofony o ostrej igle, która drapiąc, niszczy płyty zbyt prędko, pragnąc by wszyscy Polacy, gdzieby nie zamieszkali w Państwie Rosyjskiem, byli naszymi odbiorcami, robimy obecnie ustępstwo, które stanowi kilka tysięcy rubli — mianowicie dajemy każdemu, kto od nas nabędzie **jeden** z trzech poniżej, pod A. B. C., podanych aparatów, **od dziś — do Świąt DARMO**

1) Libretto do płyt zawierające 127 pieśni i 26 portretów; 2) Ozdobny kalendarz ścienny do zdzierania; 3) 20 bonów rabatowych, wartości 10 rb., które mogą służyć za zadatek przy dalszych obstalunkach (tylko zamiejscowym) dla wyrównania kosztów przewozu; 4) Płyt podług naszego wyboru, wartości 10% nabytego aparatu, co równa się mniej więcej kosztom opakowania i przewozu; 5) Cenniki i repertuary ilustrowane — dokładne objaśnienia.

A) **Pathéfon Mod. St. III**, z tubą 35 c/m, z 12 płytami 28 c/m, jednostr., za rb. **35,00** — zadatek wymagany rb. 10.

B) **Pathéfon Mod. 5**, z tubą 50 c/m z 15 płytami 28 c/m jednostr., za rb. **65,00** — zadatek wymagany rb. 15.

C) **Pathéfon Mod. G.** z tubą 50 c/m z 18 płytami 28 c/m jednostr., za rb. **85,00** — zadatek wymagany rb. 25.

Liczbą płyt objęte płyty, które dajemy darmo.

Przy łask. obstalunkach prosimy podawać dokładnie:

**Imię i nazwisko**, miejscowość, stację kolejową (najbliższą), stację pocztową i gubernię.

**UWAGA:** O ile nie otrzymano spisu numerów płyt, to dodawać będziemy:

2 śpiewy ludowe, 2 śpiewy z oper i operetek, 2 śpiewy kościelne, 2 monologi, resztę orkiestr: walce, polki, mazury i t. p., i to tylko **numera wyborowe** (we własnym interesie).

**Kto chce skorzystać, niech nie odkłada**, bo ustępstwa tego po Świątach robić nie będziemy, i **tylko** ci, którzy teraz zamówią, mogą liczyć, że aparaty otrzymają na czas, bo **Święta za pasem**. (Ogłoszenie powtórzone nie będzie).

## Adam Klimkiewicz

GŁÓWNY SKŁAD NA KRÓLESTWO POLSKIE

**Warszawa, Leszno 14.**

**UWAGA:** Wszystkie nasze Pathéfony są zaopatrzone w koncertową membranę Pathé i dlatego wszystkie grają jednakowo; różnica polega na mechanizmie, zewnętrznym wykończeniu, wielkości tuby i t. d.

Każdy dobry gramofon przerabiamy **bezpłatnie**, przy kupnie 15 płyt.

Cenniki, repertuary, broszurki i objaśnienia na żądanie **bezpłatnie.**

JEDYNY SKŁAD FABRYCZNY  
MEBLI GIĘTYCH

**BRACI THONET**

w Wiedniu. **Warszawa, Marszałkowska 141**  
poleca w wielkim wyborze MEBLE. Artykuły sportowe.

**L. Lipiński** { Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12. } **Wielki wybór brylantów, kolorowych kamieni i pereł oraz biżuterii złotej i srebrnej w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe.** Firma egz. od 1875.  
WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie,

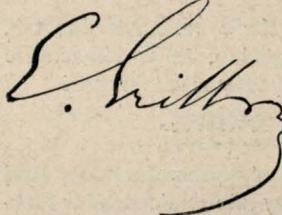
**Surga KALODONT**  
Niezbędny krem do zębów  
Utrzymuje zęby biało, czysto i zdrowo.  
Żądać wszędzie

**DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH  
EKSTRAKT I KARMEŁKI  
LELIWA**  
w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.  
SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

KSIEGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36  
przesła na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

PASTILLES  
DE  
**TAMAR  
INDIEN  
GRILLON**  
PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.  
We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający  
PRZECIW  
**OBSTRUKCYI**  
Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem



**Od Administracji.**  
Agentury nasze: G. Gebethner i Spółka w Krakowie i S. Sokołowski we Lwowie posiadają na składzie resztę premium „Tygodnika Ilustrowanego” z 1908 r., **album**  
**„Duch-Rewolucjonista” Antoniego Kamińskiego**  
Cena albumu broszuowanego Kor. 5.— (rb. 2)  
„ „ w ozdobnej oprawie „ 10.— (rb. 4)  
Za przesyłkę pocztową albumu dopłaca się „ 1.— (kop. 60).

Rynek głów. Ilia AB róg ul. Floryańskiej  
**KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI**

Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.



**L. MARCHOWIECKI** Krak.-Przedmieście 23  
(vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, ciepłe pantofle, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”  
mamy na składzie  
**Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY „TYGODNIKA”**  
po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.  
**piękne artystyczne teczki**  
do albumu „DUCH REWOLUCYONISTA” A. Kamińskiego  
po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.  
Do cyklu „BOŻY ROK” Piotra Stachewicza  
po rb. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rb. 2.

**PIWO** **Bawarskie Pilzeńskie (jasne)** **Kulmbachskie (ciemne)** Nagrodzone medalami złotymi na różnych wystawach  
poleca  
**SEWERYN JUNG**

UWAGA! Królestwo Polskie wypija piw obcych rocznie już za 600,000 do miliona rubli, przez co upada krajowy przemysł piwowarski! Piwa nasze są równie dobre, jak niemieckie (np. Stritzky'ego, Waldschlösschen i t.p.). Każdy niech to sprawdzi przez porównanie i niech żąda wszędzie tylko piw swoich. Popierajcie przemysł krajowy!  
z browaru swego istniejącego od lat 60  
**w Warszawie, Plac św. Aleksandra № 8**  
**Telefonu № 2591**

**ODPOWIEDZI.**

*P. L. Tallowi.* Obrazka Pańskiego przewidzieć, tem więcej, że wierszom Pańskim brak głębszej kultury literackiej i gładkości stylu. Trzeba pilnie nie będziemy drukowali. Rękopis do studyować arcydzieła poezji naszej i obcej. Rękopis do zwrotu, za nadesłaniem kosztów przesyłki pocztowej.

*P. Stanisławowi Jastrz.* Nadesłane utworów, mimo jednostronności motywów i nastrojów („Podania biblijne”) słańmiem kosztów przesyłki pocztowej. *Prenumeratorko z nad Donu.* Znajdzie Sz. Pani wykaz w *Kalendarzu* Posą niewątpliwie dowodem pewnych zdolności literackich—w zarodku. Czy wzmiałyby to bowiem wszelkie cechy rebusa z niego dorodne drzewo—trudno klamy.

Złoty medal 1908  
Srebrny medal 1908

**Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzećinowych T. & W. Krakowscy** Magazyn—Warszawa, **Aleje Ujazdowskie 16.** Tel. 70-10

**Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15** Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.